

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

038944
/1958

tytuł w 210
038944/1958
NUMER



210



191 w 207-209

PORADNIK KULTURALNO-OSWIATOWY



1958



TREŚĆ:

	Str.
Florian Znaniecki: Ludzie teraźniejszości a cywilizacja przyszłości	1
Florian Znaniecki: Kult państwa	3
PRZEMIANY KULTURALNO-SPOŁECZNE W POLSCE:	
Głosy z Konferencji uniwersytetów ludowych w Polsce:	
Ks. Jan Zieja	5
WIECZORNICE:	
Józef Ekkert: Wielki Post i Wielkanoc w Haczowie	7
Maria Konopnicka: Stefek Burczymucha	10
Maria Konopnicka: Stefek Burczymucha (Inscenizacja Jadwigi Otwinowskiej)	11
ŚWIETLICA:	
Alexander Janta: O ruchu Polskich Klubów Kulturalnych w Ameryce	13
Stanisław Ilowski: Z naszych tradycji	15
POLACY W KULTURZE ŚWIATA:	
Franciszek Kapeliński: Bronisław Malinowski (Dokończenie)	18
J. H.: Ks. Tadeusz Juda Kruszyński, T. J.	24
Jadwiga Mrozowska-Toeplitz: Różne drogi prowadzą do oszałamiających wyczynów (ciąg dalszy)	25
WIADOMOŚCI:	
Maryna Chwalibóg: O „Turoni” na angielskiej scenie	34
M.A.S.: Centrala Bibliotek Ruchomych (Dziesięciolecie)	36
J.J.: Sekcja Biblioteczna przy Radzie Kulturalno-Oświatowej	37
J.J.: Wieści z Kraju	37
F.K.: Zagadnienia oświaty dorosłych	38
Ks. Łucjan Królikowski: Dzieje „uprowadzonych” dzieci	39
Tadeusz Wawro: Z doświadczeń polskiego bibliotekarza w Szkocji	41
Leon Surzyński: Z pieśnią w służbie narodu	43
Z ŻYCIA YMCA:	
Z działalności Ogniska Polskiej YMCA w Londynie	45
Nowe książki	46
J. Hoffman: Ś. P. Anna Oderfeld-Kowalczevska	47

Redaktor: **Jakub Hoffman**

Adres redakcji i administracji: 46/47, Kensington Gardens Square, London, W.2.

PRENUMERATA KWARTALNIKA: Rocznie — 15 sh. Półrocznie — 8 sh.

Cena numeru pojedynczego wraz z przesyłką 4 sh. 6 d.

OGŁOSZENIA: 1/1 str. — £30. 1/2 str. — £15. 1/4 str. — £7. 10 sh. 1/8 str. £3. 15 sh.

Printed by N. MacNeill & Co., Press, Ltd., 127, Walworth Road, London, S.E.17.

P O R A D N I K KULTURALNO-OŚWIATOWY

KWARTALNIK

ADVISER FOR EDUCATIONAL AND SOCIAL WORKERS

QUARTERLY

Nr 210
Rok 18

Wydawca: Polska YMCA w Europie Zachodniej
46/47, Kensington Gardens Square, London, W.2.

Grudzień 1958

FLORIAN ZNANIECKI

LUDZIE TERAZNIEJSZOŚCI A CYWILIZACJA PRZYSZŁOŚCI (1934)

... Żyjemy w okresie dziejowym o tak wielkich możliwościach na przyszłość, jakich nigdy jeszcze ludzkość nie miała przed sobą. Możliwa jest nowa cywilizacja, różniąca się od wszelkich, jakie były i są, nie tylko niebywałym dotąd bogactwem, ale najgłębszą swą istotą. Dokonywują się w naszym świecie kulturalnym procesy, które mogą doprowadzić do całkowitego przetworzenia wszystkich dziedzin kultury w ich budowie i funkcji życiowej. Żadna utopia nie zdoła nakreślić obrazu tej przyszłej cywilizacji. Z niejakim prawdopodobieństwem przewidzieć się dają tylko pewne zasadnicze jej właściwości, w przypuszczeniu, że zarysowujące się dziś nowe zaczątki rozwiną się w pełni.

Lecz ta wielka przyszłość jest niepewna. Jako druga możliwość zaś staje przed nami nie dalsza stopniowa ewolucja obecnego świata, choćby z wahaniem i zboczeniami, ale rozkład lub zniszczenie znacznej części dorobku kulturalnego ostatnich paru tysiącleci, zubożenie jakościowe i ilościowe wszelkiej cywilizacji na długie wieki...

Są jednak w świecie nowoczesnym niewątpliwe zaczątki nowej cywilizacji — nie „międzynarodowej“, lecz *wszechludzkiej*, zawierającej nie pierwiastki *wspólne* wszystkich cywilizacji narodowych, lecz pierwiastki *najcenniejsze* różnych cywilizacji narodowych, połączone w niebywałej dotychczas syntezie, oparte na nieznanym w przeszłości formach współżycia społecznego i rozwijające się w nieprzewidywanych dotąd kierunkach. Z drugiej strony zaś są niewątpliwe, a bardziej

oczywiste objawy załamania się cywilizacji narodowych w walkach zewnętrznych, w kryzysach wewnętrznych, w przeroście wytworów nad twórcami. Stoimy wobec alternatywy. Albo powstanie cywilizacja wszechludzka, która nie tylko uratuje wszystko, co warte uratowania z cywilizacji narodowych, lecz doprowadzi ludzkość do poziomu, przewyższającego najsmielsze marzenia utopistów; albo cywilizacje narodowe się rozpadną, to znaczy, że choć świat kultury nie zostanie zniszczony, największe jego systemy, najbardziej wartościowe wzory utracą wszelkie znaczenie życiowe dla zreszta ludzkich na przeciąg licznych pokoleń...

Cywilizacja wszechludzka, jeżeli powstanie, różnić się będzie od cywilizacji narodowych nie tylko tym, że cała ludzkość w niej będzie uczestniczyła. Będzie ona także cywilizacją *humanistyczną*, z przewagą kultury duchowej, podczas gdy wszystkie dotychczasowe cywilizacje były *naturalistyczne*, z przewagą kultury materialnej. Będzie to cywilizacja *społecznie harmonijna*, wolna od konfliktów i antagonizmów, które przepełniają dzieje dzisiejszych cywilizacji. Będzie to wreszcie cywilizacja *płynna*, o równowadze dynamicznej, w której swobodna twórczość będzie normalną funkcją jednostek i grup ludzkich, nie potrzebująca przełamywać oporów i nie powodująca kryzysów, jak w dotychczasowych cywilizacjach o równowadze stałej lub statycznej. I tylko taka cywilizacja humanistyczna, harmonijna i płynna może być cywilizacją wszechludzka.

Dopiero od niedawna zarysowały się widoki istotnego rozwoju i rozpowszechnienia zupełnie odmiennej postawy względem systemów materialnych. Mówiliśmy już o możliwości ilościowego zmniejszania się zainteresowań materialnych na rzecz zainteresowań duchowych, na skutek wielkiego a coraz to szybszego wzrostu produkcji. Postęp techniki, składając na maszyny przeważną część pracy fizycznej, którą w przeszłości wykonywały organizmy ludzkie, umożliwi także głęboką jakościową zmianę zainteresowań, które zawsze istniały lecz były tłumione przez twardą rzeczywistość. Mówimy o zainteresowaniach twórczych, występujących przy budowie nowych systemów materialnych.

Już dziś wyraźne objawy tej zmiany dają się zaobserwować, gdy porównamy kraje o starej kulturze materialnej z krajami niedawno skolonizowanymi, zwłaszcza z Ameryką Północną. U emigrantów-pionierów, zrzekających się uczestnictwa w kulturze materialnej kraju, w którym wyrosli, dla tworzenia nowej kultury materialnej w nieopanowanym jeszcze przez technikę kraju, oprócz przeważających pragnień ekonomicznych i społecznych nieraz występowały dążności twórcze, podobne do dążności artystów. Zachodziło to, zdaje się już w starożytności; wśród pionierów amerykańskich zaś mamy tego wyraźne dowody, poparte konkretnym materiałem, rozumie się, że prawdziwi twórcy stanowili zawsze drobną mniejszość wśród mas, które gnała po prostu chęć ucieczki przed niepożądanymi warunkami lub nadzieja dobrobytu ekonomicznego i swobody społecznej. W każdym razie fakt, że otwarte tereny kolonizacyjne umożliwiały każdemu, kto chciał, nieskrępowane budowanie nowych systemów technicznych i ekonomicznych zamiast podtrzymywania, naprawiania, przerabiania starych systemów w zasiedlonych z dawna terenach, przyczynił się znacznie do powstania tego rozmachu twórczego w zakresie kultury materialnej, która uderza europejskich badaczy życia amerykańskiego.

Rozmach ten byłby zapewne zanikł po wyczerpaniu niezajętych terenów, gdyby nie olbrzymi postęp wynalazczości technicznej, otwierający nieznane horyzonty przed tworzeniem nowych systemów i ułatwiający sam proces tworzenia. Oczywiście, zapał twórczy istnieje tylko u wynalazców, inicjatorów, organizatorów, kierowników wolnych od mozołu i jednostajności, które dzisiejsza organizacja współdziałania technicznego nakłada jeszcze na szerokie masy pracujące nawet przy realizacji nowych i oryginalnych planów

twórczych; lecz trochę tego zapału udziela się nawet zdolniejszym i czynniejszym członkom mas, którzy wolą pracować przy tworzeniu nowego, niż uczestniczyć w funkcjonowaniu starego systemu technicznego lub ekonomicznego. Skądinąd wiadomo, że nawet w Rosji, mimo odwiecznej bierności i konserwatyizmu mas, udaje się przodownikom sowieckim obudzić u niektórych pracowników czynne zainteresowanie tworzeniem nowych systemów technicznych, choć zainteresowanie to często zanika, gdy system jest już gotowy.

Możliwe jest więc, naszym zdaniem, że dalsza ewolucja życia materialnego doprowadzi do tego, iż gotowe systemy materialne — zgodne z dawnymi wymaganiami najwyższych ideologii etycznych wszystkich wielkich cywilizacji — traktowane będą nie jako cenne same w sobie przedmioty czynnych zainteresowań, lecz jako niezbędne narzędzia cywilizacji humanistycznej, umożliwiające ludziom przez zadowolenie ich potrzeb materialnych oddanie się czynnemu życiu duchowemu. Ich wartość jako narzędzi będzie tym większa, im lepiej służyć będą temu zadaniu, to znaczy im mniej ich utrzymanie i użytkowanie pochłaniać będzie sił i czasu i im większej liczbie ludzi ułatwiać będą uwolnienie się od trosk biologicznych..

Że zaś tworzenie nowych systemów materialnych nie potrzebuje być uzależnione od nadziei zysków, jakie da system utworzony, na to oczywistym dowodem jest fakt, że inicjatywa twórcza wymyka się coraz bardziej z rąk przedsiębiorców. Przede wszystkim w całym świecie cywilizowanym rozmach twórczy w budowie systemów technicznych i ekonomicznych dla użytku publicznego w coraz szybszym tempie prześciga twórczość prywatną..

Budowanie nowych systemów materialnych przestaje być pracą dla kierowników, a staje się sztuką uprawianą tak samo jak sztuki piękne — dla samego dzieła, nie dla własnego użytkownika z dzieła po jego wytworzeniu. Jeżeli z dalszym rozwojem techniki przestanie być pracą, a stanie się sztuką dla ogółu ludzi w nim uczestniczących, kultura materialna nie będzie już przeszkodą w twórczym upływnieniu cywilizacji. Systemy materialne trwać będą dopóki ludzie będą chcieli ich używać, gdy zaś zechcą zastąpić dany system przez inny lepszy, nie będzie to żadnym kryzysem kulturalnym, jak nie jest w normalnych czasach dla Amerykanina zastąpienie zużytego samochodu starej marki przez nowy, lepiej zbudowany..

FLORIAN ZNANIECKI

K U L T P A Ń S T W A

(1 9 3 6)

... Jeszcze do dziś dnia większości działaczy państwowych i teoretyków prawa państwa sprawa tego ustosunkowania [państwa do grup społecznych] przedstawia się dość prosto. Państwo w ich przekonaniu, jako zamknięta w sobie całość, ma tu do czynienia z dwojakiego rodzaju problemami: polityki wewnętrznej i polityki zewnętrznej. W zakresie polityki wewnętrznej wchodzi wszystkie problemy ustosunkowania do grup, które tworzy ludność terytorium państwowego. Państwo stara się rozwiązywać wszystkie te problemy w myśl zasady „racja stanu”, wyrażającej pojęcie nadrzędności interesu „ogólnego” państwa jako całości, względem interesów „szczególnych” wszystkich tych grup, traktowanych jako części wewnątrz tej całości. Ponieważ interesy tych grup są bardzo różnorodne i często sprzeczne między sobą, więc w interesie ogólnym państwa jest takie ich zespolenie i szarmonizowanie, aby rozbieżność ich nie rozbiła jego jedności. Może to być osiągnięte mniej lub więcej skutecznie na dwojakiej drodze: albo przez zupełnie niezależny od ludności, trwały, silny, rozumny rząd, który z wyżyn absolutnej suwerenności śledzi bacznie dążenia poszczególnych ugrupowań, stara się je zadawać w miarę możliwości, łagodzi ich konflikty i zmusza do ustępstw wzajemnych; albo przez rząd wyłaniający się z samej ludności jako wyraz każdorazowej wypadkowej siły grupowej, przy której kształtowaniu czynnikiem regulującym samorządną grę tych sił jest opinia publiczna, kierująca się w zasadzie interesem państwa, lepiej lub gorzej rozumianym, zależnie od poziomu ogólnej oświaty.

Polityka zewnętrzna natomiast jest sprawą współzawodnictwa między państwami, gdzie każde państwo stara się pozyskać największe korzyści kosztem innych państw, występując we wspólnym interesie całej ludności. „Racja stanu” pokrywa się tu z tym wspólnym interesem, co najdobitniej objawia się w wojnie, gdy rozbieżności szczególnych interesów różnych ugrupowań ludności usuwają się w cień ponieważ klęska państwa jest szkodą ich wszystkich, zwycięstwo państwa im wszystkim przynosi korzyści.

Cała ta koncepcja zawsze wyrażała ideał raczej, niż rzeczywistość, lecz ideał, do którego niektóre państwa, i w starożytności, i w

czasach nowszych mniej lub więcej mogły się przybliżyć. Coraz trudniej jednak te koncepcje pogodzić z faktami; przybliżenie się ideału „racji stanu” odosobnionego państwa, jako ostatecznego sprawdzianu działalności państwowej, nie tylko musi przewyżczać coraz większe przeszkody, lecz możliwe jest tylko kosztem coraz groźniejszych kataklizmów cywilizacyjnych.

Rozpatrując sprawę przynależności ludności państwowej do różnych grup społecznych, stwierdziliśmy istnienie takich grup, które obejmują części ludności kilku państw. Gra sił społecznych, w której objawiają się solidarność i antagonizmy tych grup, nie daje się opanować i uregulować w ramach jednego państwa. Co więcej, w dzisiejszym świecie cywilizowanym powstaje coraz więcej wspólności i konfliktów potężnych interesów, niezależnych od granic terytorialnych, i te wspólności i konflikty prowadzą do tworzenia nowych ponadpaństwowych i międzynarodowych ugrupowań, zwalczających się nawzajem. W ścieraniu się tych sił społecznych odosobnione państwo ratuje się przed rozkładem tylko stając się narzędziem zniszczenia.

Fakty są dobrze znane, tylko wniosków z nich ideologowie państw nie umieją wyprowadzić. Zaczęło się na Zachodzie od walk religijnych XVI i XVII wieku, walk, które przynajmniej o sto lat cofnęły rozwój kulturalny Europy. Państwo, dążące do jedności wewnętrznej, nie umiało znaleźć innej drogi, jak w imię racji stanu sprzymierzyć się z jedną ze stron walczących, wyniszczyć innowierców wewnątrz i starać się podbić, zniszczyć lub osłabić państwo rywalizujące, które sprzymierzyło się ze stroną przeciwną. Rozwiązanie problemu na zasadzie tolerancji religijnej dokonało się naprawdę skutecznie tylko w krajach o większości protestanckiej, dzięki rozbiciu protestantyzmu na sekty i osłabieniu jego bojowości. A przy tym, inne konflikty usunęły konflikt religijny na plan drugi. Walka demokratyzmu mieszczańskiego z opartą na klasie szlacheckiej monarchią nie była wewnętrzną sprawą poszczególnych państw; uczestniczyły w niej siły międzypaństwowe, nie dozwalające żadnemu państwu osiągnąć samodzielnie równowagi wewnętrznej aż do upadku potęg monarchicznych. Jeszcze w ciągu trwania tej walki wysunął

się problem narodowy, którego znów państwa nie umieją rozstrzygnąć inaczej, jak stając się narzędziami bojowymi przeważających w nich grup narodowych, wyznaczając „mniejszości narodowe“ i walcząc przeciw innym państwom o terytoria bądź już zamieszkałe przez ludność, należącą do ich „większości narodowych“, bądź mogące stać się terenami ekspansji tych większości. A zaledwie krótkowzroczni ideologowie zdążyli stworzyć ideał „państwa narodowego“, który w sojuszu państwa z narodem widzi sposób zachowania samoistnej „racji stanu“ każdego państwa w odosobnieniu od reszty świata, już wypłynęły nowe siły między państwami, wciągające poszczególne państwa w wir nowych solidarności i antagonizmów wewnętrznych i zewnętrznych...

Tradycyjnie odosobnienie państwa stawia je wobec nieuniknionej alternatywy. Albo będzie ono terenem walk tych sił, które bądź już zorganizowały się w wielkie grupy współzawodniczące, bądź zaczynają się organizować; albo w każdym konflikcie zwiążą się z jedną ze stron. W pierwszym wypadku, jeśli się wprost nie rozleci, to stanie się ofiarą sąsieda, który się z jakąś z potęg walczących sprzymierzył; w drugim, oddając swe środki materialne i organizację militarną na usługi narodu, klasy, rasy, zreszcie ekonomicznego itd., umożliwia przejście od innych form walki do wojny; wiadomo zaś, czym dziś grozi powtarzanie się wojen.

Jedynym wyjściem poza tę alternatywę jest wytworzenie nowej „racji stanu“ — nie pojedynczego państwa, lecz związku państw (jeżeli nie jakiegoś światowego nad-państwa), któryby wspólne i ogólne interesy wszystkich państw wyniósł ponad jednostronne interesy grup religijnych i antyreligijnych, narodów, klas, ras, zreszcie ekonomicznych. Związek ten musiałby być takim samym nadrzędnym czynnikiem pokoju, harmonizującym konflikty społecznych sił na terenie światowym, jak rozumnie rządzone państwo, gdy harmonizuje te mniej ważne konflikty w łonie własnej ludności, których przyczyny i skutki nie wychodzą poza jego granice. Trzeba by, aby w takim związku (w odróżnieniu od dzisiejszej Ligi Narodów) każde państwo reprezentowało tylko swe własne interesy, jako grupy terytorialnej, niezależnie od jakichkolwiek agresywnych interesów grup niepaństwowych, a zarazem solidarne z podobnymi interesami innych państw. Taka solidarność czysto państwowa byłaby zapewne niemożliwa dla państw, które pragną ekspansji kosztem innych państw dlatego, że

własne swoje interesy ogólnopaństwowe utożsamiają z interesami jakiejś agresywnej grupy rządzącej. Ale państwo jako całość — grupa terytorialna, w której czynnie uczestniczą wszyscy obywatele i której zadaniem jest utrzymywanie i doskonalenie porządku społecznego oraz podnoszenie kultury materialnej i duchowej całej swej ludności, nie ma właściwie interesów, zasadniczo sprzecznych z interesami innych państw, które jako grupy terytorialne stawiają sobie podobne zadania. Przeciwnie: w miarę rozwoju kultury nowoczesnej coraz szersze jest pole interesów państwowych, wspólne wielu, nawet wszystkim państwom. Medycyna, higiena, eugenika, postęp techniczny w wyzyskiwaniu zasobów przyrody i wzrost ogólnego dobrobytu; uniezależnienie stosunków ekonomicznych od różnic klasowych; wychowanie intelektualne i moralne młodzieży, twórczość naukowa, literacka, i artystyczna: wszystko to są sprawy, gdzie w interesie każdego państwa leży nie tylko unikanie wszelkiego konfliktu z innymi państwami, lecz szukanie metod coraz to szerszej, bardziej harmonijnej współpracy i pomocy wzajemnej. Wyższa racjonalność państwa w porównaniu z innymi rodzajami grup uzdalnia je do tego, aby ową wspólność interesów wprowadzić w czyn, odrzucając sprzeczne z nią, irracjonalne tradycje społeczne. Pierwszym zaś krokiem w tym kierunku jest wyzbycie się tradycyjnej koncepcji państwa jako odosobnionego od reszty świata organizmu, w którym ludzie są integralnie zamknięci, jak komórki i którego wszelkie grupy przez tych ludzi tworzone są organami. Koncepcja ta jest przeżytkiem szkodliwym dla całej cywilizacji, a najszkodliwszym dla samego państwa.

Właśnie tylko w oparciu o inne państwa, nie w odosobnieniu się od nich, a tym mniej w walce z nimi, każde państwo nowoczesne znaleźć może tę siłę wewnętrzną, która pozwoli mu przestać być bierną igraszką lub narzędziem bojowym innych grup społecznych, wznieść się ponad nie, opanować ich konflikty i sprawić, aby swe dążenia podporządkowały „dobru ogólnemu“. A to „dobro ogólne“, jako ideał solidarnej współpracy między państwami, było by już oczywiście dobrem całej ludzkości. Służba takiemu ideałowi nadała by państwu wyższość moralną nad wszelkimi grupami społecznymi, której nie posiada dzisiaj, gdy ideały swe zapożycza z narodu, kościoła, klasy lub rasy...

Socjolog, obserwując działalność obecnych czolowych ideologów kultury [państwa] w różnych krajach Zachodu i Wschodu, stwierdza,

że nie tylko nie przybliżają się oni do urzeczywistnienia swej ideologii, lecz idą w kierunku wprost przeciwnym, budując i wzmacniając siły społeczne, które, o ile ich nikt nie pohamuje prędzej czy później doprowadzić muszą do ruiny wszystkich państw bądź przez rozkład wewnętrzny, bądź przez zniszczenie z zewnątrz, bądź przez kombinacje obu procesów. I bezstronnego, obiektywnego obserwatora ogarnia zdumienie. Jak to zjawisko wytłumaczyć? Starożytni mieli proste wyjaśnienie dla tego rodzaju faktów: *Quos deus vult perdere, dementat* („Bóg pozbawia rozumu tych, których chce zgubić“). My takim wy-

jaśnieniem zadowolić się nie możemy. Bezrozumność postępowania mężów stanu i wodzów partii, to nie sprawa indywidualnego, ani nawet masowego obłądzenia. Źródła jej odwieczne leżą głęboko w życiu społecznym: wykrycie ich jest jednym z najtrudniejszych, ale i najciekawszych problemów socjologicznych *).

*) Jakby uzupełnieniem oraz zaktualizowaniem wyżej wyrażonych poglądów prof. Fl. Znanieckiego, można potraktować artykuł prof. Feliksa Grossa: „*Uwagi o Europie Wschodniej*“, opublikowany w „*Kulturze*“ (paryskiej) za październik 1958 Nr 10/132, str. 95 - 106. (Redakcja).

PRZEMIANY KULTURALNO-SPOŁECZNE W POLSCE UNIwersytety Ludowe w Polsce

W 209 zeszytacie „*Poradnika*“ podaliśmy z dyskusji nad referatem prof. B. Suchodolskiego: „*Ideaty kultury na tle rzeobrazów społecznych*“ głosy prof. Heleny Radlińskiej i Władysława Radwana. Obecnie podajemy głos ks. Jana Zieji z dyskusji nad referatem prof. Stefana Ignara „*Rola i zadania uniwersytetów ludowych na tle kulturalnej epoki*“ i koreferatu na powyższy temat Władysława Radwana.

Redakcja.

KS. JAN ZIEJA

Podchwytuję to, co powiedział przed południem kol. Wojciechowski, że obecna dyskusja, a potem praca w uniwersytecie ludowym, powinna się odbywać w atmosferze dalekiej od zakłamaney gry i w atmosferze uczciwości intelektualnej i chciałbym, by to, co będę mówił, było wierne życzeniom, wyrażonym przez kol. Wojciechowskiego.

Zanim przejdę do właściwego tematu chciałbym poprosić i członków Towarzystwa i tych, którzy będą kiedyś pracowali w uniwersytecie ludowym, by szczególną uwagę zwrócili na przyspieszenie procesu zespolenia się wszystkich plemion polskich w jeden naród. Pracuję na Pomorzu, w Słupsku. Mamy tam Polaków poczwórnygo rodzaju: najpierw tę małą garstkę, która nawet za czasów niemieckich czuła się Polakami; są też Polacy — koloniści — napływowi z Koneckiego, Opatczyńskiego, z okolic Warszawy; są Polacy repatrianci zza Bugu i są tacy, którzy dopiero

starają się o uzyskanie obywatelstwa polskiego. Widzimy często między tymi czterema kategoriami Polaków ogromną niezgodę, brak poczucia jedności; jest to bardzo bolesne zwłaszcza, gdy wchodzą tu w grę różnice religijne. Jedni bowiem są katolikami, a inni ewangelikami. Jest więc przed nami wielkie zadanie przyspieszenia tego procesu zespolenia wszystkich w jeden naród polski. Konieczna potrzeba będzie, aby to dokonywało się i w uniwersytecie ludowym, aby tam panowała atmosfera umiłowania prawdy, atmosfera poszanowania przekonań politycznych i religijnych.

Istotną potrzebą będzie tu umiłowanie prawdy. Tylko tu małe zastrzeżenie, bo wielu z nas mówi o tym, ale gdy się zbada czyjs stosunek wewnętrzny do prawdy, odkryje się nieszczerść. Chodzi o rzeczywiste umiłowanie prawdy ponad siebie, ponad swoje życie. Chodzi o pokorę wobec prawdy i zrozumienie, że prawda jest większa niż my; my możemy zginąć, ale — prawda będzie żyła. Pokorne umiłowanie prawdy jest sprawą wielką: prawda jest nieogarniona i zawsze musimy jej być spragnieni i w pokorze jej szukać, bo kto będzie pysznym wobec prawdy, to w nim tej prawdy nie będzie. W książce prof. Rozwadowskiego, p.t. „*Prawda życia*“ znajdziemy rozważania o pokorze człowieka badacza.

Uważam, że zagadnieniem, nadającym się do dyskusji na tym Zjeździe, byłby temat: „*Jaki ma być stosunek wychowawców i nauczycieli uniwersytetów ludowych do życia re-*

ligijnego młodzieży". Ten temat nadaje się tu do omawiania, wszystkie inne zahaczenia o sprawy religijne nie powinny być dyskusyjne.

Jeden z kolegów powiedział, że do przeszłości należy to, że Kościół spełniał jakąś rolę społeczną w ludzkości. Niech ten kolega dorzuci, że właśnie w ten sposób wyrażali się o roli Kościoła ludzie, którzy od niedawna naprawdę już do przeszłości należą, nad którymi niedawno odnieśliśmy zwycięstwo. Ci to właśnie ludzie mówili o „starym świecie, który już przeminął“ i o tym, że oni „wypracowują nowy świat“, który, na szczęście, już się skończył.

Prawda jest taka, o jakiej mówił nasz Norwid, że przyszłość należy właśnie do Kościoła i cała nadzieja ludzkości jest w tym, że jeszcze cywilizacja chrześcijańska jest przed nami. My do tej pory trawimy resztki cywilizacji hebrajskiej, greckiej, rzymskiej, itp., ale ludzkość jeszcze nie widziała cywilizacji chrześcijańskiej. Jestem zgodny z zapowiedzią Chrystusa, że Jego sprawy ludzkości będą rosły, że zaczną się od małego ziarenka, które, mimo podeptania, wyrośnie w wielkie drzewo, pod którego cieniem spoczną narody świata i znajdą ukojenie. Toteż nigdy święta społeczność kościelna nie była takim oczekiwaniem narodów, jak dziś. Powołam się tutaj na taki autorytet jak... Lenin. Zdziwicie się zapewne: w jego biografii powiedziano, że gdy dzieło było już dokonane, w chwilach zadumy ogarniało go nieraz zwątpienie, czy to jest istotnie to, o czym marzył. I w takiej chwili powiedział kiedyś: „No, jeśli nie my, to chyba ... Franciszek z Asyżu“. Lenin poznał postać św. Franciszka w okresie swego pobytu w Zakopanem, gdzie jednocześnie przebywał brat Albert Chmielewski, tercjarz franciszkański, opiekun nędzy krakowskiej.

Chodzi tu o stosunek człowieka do człowieka. Mówić: Franciszek z Asyżu — to znaczy wyznawać Chrystusa. A wyznawać Chrystusa — to znaczy wyznawać, że największą siłą, przetwarzającą ludzkość, jest miłość. Chrystus powiedział, że po tym pozna się jego uczniów, że będą się miłowali.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na to, co należy rozumieć przez „świętą społeczność kościelną“, gdyż bardzo często łączy się z tymi słowami myśl o „organizacji“ kościelnej.

To, co tu powiem, nie jest czymś specjalnie spreparowanym na ten Zjazd, ale jednym z punktów katechizmowej nauki katolickiej. Znajdziemy to choćby w notatkach młodzieży

gimnazjalnej w Słupsku. Na pytanie: co to jest Kościół? — jest tam odpowiedź: „Jest to społeczność ludzi dobrej woli, złączonych jako z Jezusem Chrystusem“. To jest ścisła definicja Kościoła. Jest to wielkie pojęcie świętej społeczności powszechnego Kościoła chrześcijańskiego i my wierzący nie damy się zepchnąć do ciasnego jakiegoś zakątka, gdzie powie się: „oto jest Kościół“, „trzeba go wyeliminować z życia“.

Pojęciem Kościoła Powszechnego ogarniamy wszystkich ludzi dobrej woli i wierzymy, że dojdziemy do tego, że staniemy się wielką, całą ludzkość ogarniającą rodziną, która nazywa się Świętym Kościołem Powszechnym. Przeżyłszy takiej społeczności w chwili obecnej są oparciem dla najpiękniejszych nadziei, jakie ma przed sobą ludzkość.

Muszę też wyjaśnić, że „pokora chrześcijańska“ jest to samo, co „prawda“, „życie prawdą“ i „życie w prawdzie“ i chcę powiedzieć, że najbardziej wartościowym i najodpowiedniejszym materiałem na działaczy społecznych, sprowadzających na prawdę głębokie przemiany, są ludzie pokorni; najbardziej zaś zdradliwym materiałem są ludzie pyszni, bo oni tylko siebie szukają, chcą siebie za wszelką cenę obronić. I gdy czują niebezpieczeństwo, zapierają się swoich ideałów, zdradzają je.

Człowiek pokorny widzi nad sobą bezmiar prawdy, widzi w jej głębiach Boga, wie, że za nim stoi Bóg ze swą wszechmocą i wiecznością. Taki człowiek będzie wierny do końca tej idei, w której świętość uwierzył i poszedł na służbę. „Ubodzy duchem“ nie znaczy ci, którzy mają „mało ducha“, ale ci, którzy wnętrzem swej duszy wyzbyli się chciwości dóbr materialnych, nie mają w sobie „mamonizmu“, którzy są wobec mamony wolni; są to też ci sami, którzy „łakną i pragną sprawiedliwości“ z wysoka, bo w sobie jej nie widzą.

10 przykazań Bożych nie są wynalazkiem Mojżesza, ale zaczerpnięte są z głębin ludzkiego sumienia, za którym stoi wola Boża. Ogłoszenie tych przykazań pod górą Synaj jest uroczystym przypomnieniem tego, co Bóg wypisał w sumieniu każdego człowieka, czym ludzkość żyła od początku swego istnienia na ziemi. Spory na temat niezgodności wiary z nauką i wiedzą należą już do przeszłości. Przed nami jest epoka pełnej swobody, w jakiej będzie pracowała ludzka myśl badawczo-poznawcza, epoka, w której będzie też miejsce na bogaty rozwój życia religijnego.

Sprawa papieża i jego stanowiska wobec Polski Jeżeli ktoś mówi o tej ważnej sprawie, musi być w zgodzie z prawdą, musi prawdę powiedzieć i dlatego przepraszam kol. Ignara. że wyrwałem się z głośnym „nieprawda“. Jeżeli głos papieża w ostatnich latach nie był dość jaskrawo wyróżniający się, to nikt nie ma wątpliwości co do tego, co papież potępiał a co pochwalał, mimo, że nie zakończył „wykłkiem Hitlera“.

Mówiono, że trudno jest księdzu prowadzić uniwersytet ludowy, ale mnie się zdaje, że — jeżeli to jest ksiądz z powołania to mu daleko łatwiej, niż innym.

W okolicy Słupska powstanie uniwersytet ludowy, który może będzie od wnętrza swego życia bardziej „Solarzowy“, mimo to wyrażnie i prawowiernie chrześcijański i prowadzony przez księdza.

Bardzo proszę wszystkich, aby kiedyś do Słupska przyjechali i dokończyli tam dzisiejszej dyskusji i stwierdzili, jak to życie „kościelne“ wygląda na miejscu.

W zakończeniu ogłaszam, po porozumieniu z Prezydium i ob. Solarzową, że o godz. 7,30 w kościele w Pabianicach odbędzie się Msza św. w intencji zaginionych: Ignacego Solarza i Jana Lipki oraz śp Jędrzeja Cierniaka.

WIECZORNICE

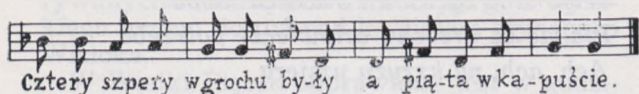
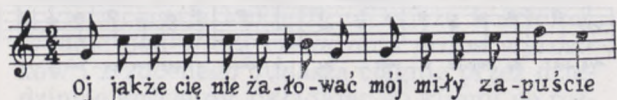
materiały i pomoce

P O L S K I R O K O B R Z Ę D O W Y

JÓZEF EKKERT

WIELKI POST I WIELKANOC W HACZOWIE

W poszczególnych stadiach roku obrzędowego w Haczowie nie spotyka się tak skrajnych przeciwieństw jak między wtorkiem zapustnym a Wstępną Środą, czyli Środą Popielcową. Radosne dni zapustu, spędzone na



tanecznych wieczorynkach lub spiesznie kojarzonych weselach zamieniają się w smutne dni wielkiego postu, poświęcone nabożnemu skupieniu i rozpamiętywaniu Męki Pańskiej. Już w pierwszym dniu wielkiego postu w Śro-

dę Popielcową zbierają się tłumy nabożnych w starożytnym kościele modrzewiowym, aby wysłuchać Mszy św. i poddać się ceremonii posypywania głów popiołem. Zamiast do syta spożywanych potraw w zapaście o których nie bez żalu głosi piosenka: „O jakże cię nie żałować mój miły zapuście, cztery szpery w grochu były a piąta w kapuście“, na stole zjawia się żur owsiany, systematycznie podawany przez dni czterdzieści. Olej, suszony owoc, stają się jedyną okrasą potraw. Kluski na oleju, kasza ze śliwkami suszonymi lub jabłkami, śledź, który wyparł słoninę, oto zwyczajna strawa; masło należy do wspomnień. Zamiast wesołych pieśni i tańców rozbrzmiewają w długie wieczory zimowe pieśni kościelne. opiewające prześladowanie Chrystusa.

Ceremonia popielcowa i słowa kapłana: „Z prochuś powstał i w proch się obrócisz“ są niezapomnianym mementem wielkiego postu, a popiół, sypany na głowę symbolem żałobnej

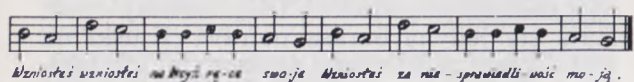
pokuty, przyjętym przez Kościół katolicki ze zwyczajów Starego Zakonu.

Z dawnych zwyczajów tego okresu tylko niektóre zachowały się jeszcze w Haczowie. Zaczajony parobek w Środę Popielcową oczekuje cierpliwie na nieprzeczuwającą żadnego niebezpieczeństwa dziewczynę, aby ją posypać popiołem z jakiegoś starego garnka. Innego zwyczaju ofiarami były dziewczęta, które w czasie zapustu nie wyszły za mąż. Taką właśnie dziewczynę wprzągano do kłosa, który musiała wlec po ziemi, najczęściej do karczmy, aby tam, ku ucieście prześladowców wykupić się poczęstunkiem.

W Haczowie post obowiązywał w środy, piątki i soboty. Były jednak i posty indywidualne, podejmowane przez pojedyncze osoby, najczęściej dla uproszenia jakiejś łaski. I tak np. nowenna poszczenia we wtorki obejmowała ścisły post w ciągu kolejnych dziewięciu wtorków. Nowenna była często łączona z obowiązkami spowiedzi i komunii św. Ścisły post zachowywano w tak zw. suchedni, przypadające czterokrotnie w roku. W czasie suchedni posiłki ograniczały się do chleba i soli, zakrapianych wodą. Te rygorystyczne jeszcze posty w wieku XIX, z czasem złagodniały.

Rozpamiętywanie w wielkim poście Męki Pańskiej budziło w tkliwych sercach ludu polskiego rzewne uczucia. Pieśń wielkopostna, nabożna, utrzymywana w skali molowej a śpiewana w kościele i w domu w czasie długich wieczorów zimowych, potęgowała jeszcze bardziej nastrój smutku. Do najpopularniejszych pieśni wielkopostnych należą: „Jezu Chryste Panie miły“, „Ludu mój Ludu“, „Wisi na Krzyżu“. Nastrój religijny swój punkt kulminacyjny osiąga w Wielkim Tygodniu.

T: Abraham Rozinatowski, 1610 r.



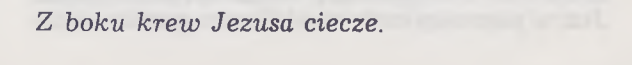
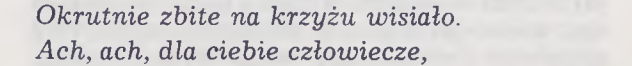
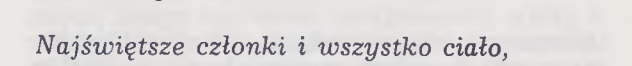
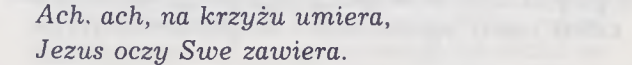
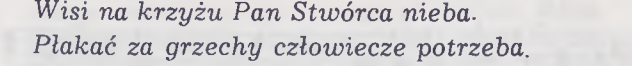
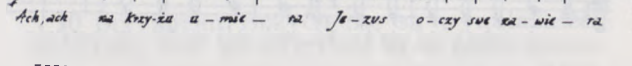
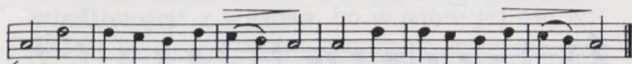
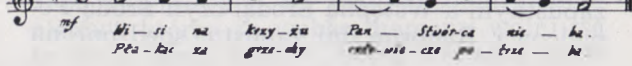
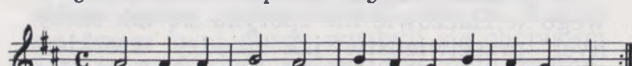
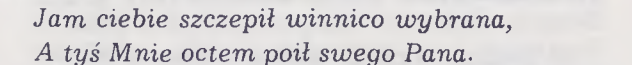
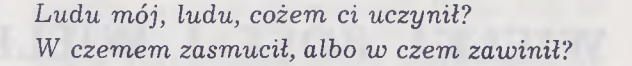
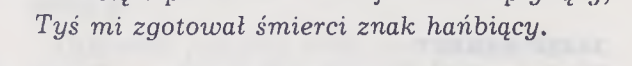
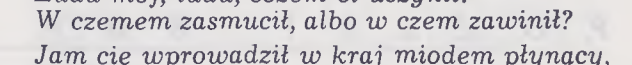
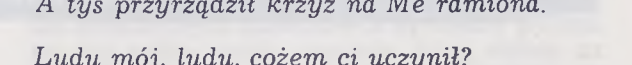
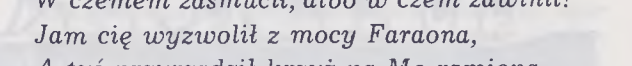
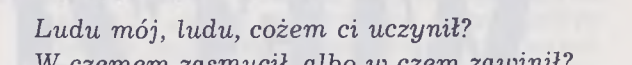
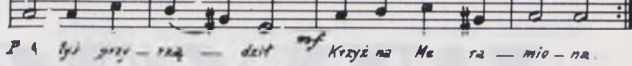
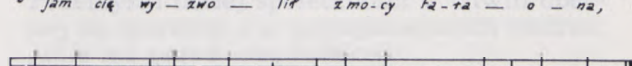
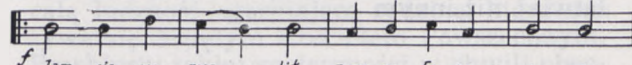
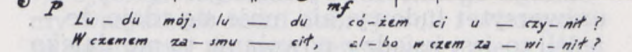
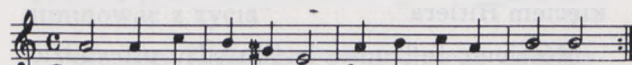
Jezu Chryste Panie Miły,
Baranku bardzo cierpliwy!

Wzniosłeś, wzniosłeś na krzyż ręce Swoje.
Wzniosłeś, za niesprawiedliwość moją.

Placz Go człowiecze mizerny
Patrząc, jak jest miłosierny,

Jezus, Jezus na krzyżu umiera,
Słońce, słońce jasność swą zawiera.

Pan wyrzekł ostatnie słowa,
Zwisa Mu z ramienia głowa;
Matka, Matka pod Nim frasobliwa,
Stoi, stoi prawie ledwie żywa.



*Ostrą koroną skronie zranione,
Język zapiekły i usta spragnione,
Ach, ach dla mojej swawoli
Jezus umiera i boli.*

Dawniej już w Środę Popielcową przygotowania czyniono, aby uzyskać pęki palmowe. W Środę Wstępną wstawiano do naczynia z wodą najczęściej gałązki wikliny lub wierzby; gałązki te rozkwiły bagnietami lub baziami w Niedzielę Palmową. (Bazie te połykano, aby zapobiec bólowi gardła).

Początek Wielkiego Tygodnia przypada na Niedzielę Palmową, zwaną również Niedzielą Kwietnią. W czasie nabożeństwa święci się palmy, a raczej pęki gałązek wiklinowych lub wierzbowych. Poszczególne pręty, po poświęceniu w kościele, służyły do wzajemnego uderzania się nimi przy równoczesnym recytowaniu: „Nie ja biję, palma bije. Za tydzień Wielki Dzień. Za sześć noc Wielka Noc”: Poświęcone palmy przetrzymuje się przez cały rok, wtykając je za obrazy święte, wiszące na ścianie izby, po czym po poświęceniu nowych palm, pali się stare. Popiół spalonych palm używa Kościół do posypywania głów wiernych w Środę Popielcową.

W Wielki Czwartek milną dzwony kościelne, które znów się odezwą w Wielką Sobotę. Dzwonki w czasie nabożeństwa zastępują drewniane klekotki, zwane także kołatkami lub grzechotkami. Chłopcy zaopatrzeni masowo w klekotki w odpowiednich fazach nabożeństwa robią z nich bardzo pilny użytek, wywołując niesamowity nastrój w kościele. W Wielki Czwartek grupa chłopców robi Judasza ze słomy, ubiera go w stare szaty i poszarpane szarawary. Przepasany powrósem ze słomy Judasz, przyciska kurczowo trzos, w którym żelazne blaszki imitują brzęk 30 srebrników. Judasza wloką wyrostki do kościoła, okładając go po drodze kijami. Po nabożeństwie wciągają kukłę tę na wieżę kościelną. W dole pod wieżą czeka inna grupa wyrostków i zrzuconego Judasza ciągnie przez dziedziniec kościelny, okładając go kijami po rozrywanych łachmanach i zrzucając go z wysokiego brzegu do tuż pod kościołem płynącego Wisłoka.

W Wielki Piątek odprawiane jest w godzinach popołudniowych nabożeństwo pasyjne, połączone z procesją wokół kościoła i kazaniem. Śpiewa się przy tym „gorzkie żale”. Usatwiony w jednej z bocznych kaplic grób Chrystusa jest pamiątką po odprawianych ongiś misteriach. Grób Chrystusa zwiedza zaciekawiona dziatwa. Inną atrakcją dla mło-

docianych jest straż przy grobie Chrystusa, sprawowana przez tak zwanych „żołnierzy”. Są to istotnie wysłużeni żołnierze, ubrani w strój ludowy, zaopatrzeni w broń myśliwską. Barwne czapki krakowskie z pawimi piórami i barwny strój wesoło odbijają się od smętku kościelnego.

Wielka Sobota jest już wyraźnym zwiastunem święta Zmartwychwstania; w tym dniu święci się w kościele wodę starannie przechowywaną w domach. Działwa z drzeniem serc oczekuje ceremonii święcenia potraw, odbywanego w specjalnie wyznaczonych domach, do których sąsiedzi znoszą w drewnianych okrągłych nieckach „święcone”. Działwa ciekawie spogląda na dekoracyjny zestaw święconego: obok pachnącej szynki i kiełbas mięnią się białe sery, słonina, kiełbasy specjalnie wędzone przez parę dni w dymie jałowcowym, kołaczki pszenne, chleb pyłowy żytni i ciemny razowiec zajmują przednie miejsce obok bab wielkanocnych z rodzynekami; specjalną zaś uwagę zwracają na siebie barwne pisanki i jajka. Po poświęceniu ksiądz nagradza działwę jajkami, zadając pytania z katechizmu i przykazań. Obdarowani promieniają z radości.

W Wielką Niedzielę odprawia się wczesnym rankiem rezurekcję. Szpaler warty przy grobie w głównej nawie zwraca uwagę barwnością stroju. W czasie nabożeństwa palba z pistoletów miesza się z radosną melodią, pochodzącą z XIV wieku „Chrystus zmartwychstał jest”, „Wesoły nam dzień dziś nastał” i „Zwycięzca śmierci, piekła i szatana”. Po rezurekcji zwiąja się wartę strzegącą grób.

Wolno

mf Chrystus zmartwychstał jest, Nam na przykład dan jest,
Iż mamy zmartwychpowstać, Z Panem Bogiem królować Alleluja!

Chrystus zmartwychstał jest,
Nam na przykład dan jest,
Iż mamy zmartwychpowstać,
Z Panem Bogiem królować. Alleluja!

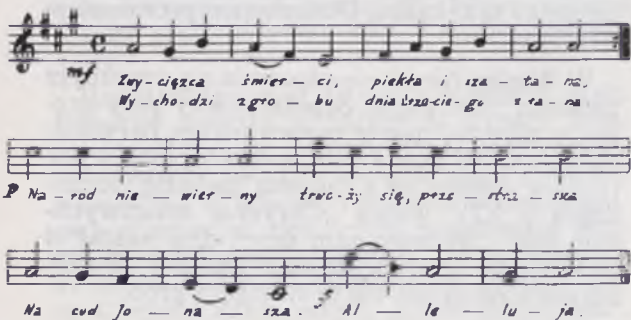
Leżał trzy dni w grobie,
Dał bok przebić Sobie,
Bok, ręce, nogi obie,
Na zbawienie człowiecze, tobie, Alleluja!



Wesoły nam dzień dziś nastal,
Którego z nas każdy żądał,
Tego dnia Chrystus zmartwychwstał,
Alleluja! Alleluja!

Król niebieski k'nam zawitał,
Jako śliczny kwiat zakwitał,
Po śmierci się nam ukazał
Alleluja! Alleluja!

Piekielne moce zwojował,
Nieprzyjaciela podeptał,
Nad nędznymi się miłował
Alleluja! Alleluja!



Zwycięzca śmierci, piekła i szatana,
Wychodzi z grobu dnia trzeciego z rana.
Naród niewierny trwoży się przestrasza
Na cud Jonasa. Alleluja!

MARIA KONOPNICKA

S T E F E K B U R C Z Y M U C H A

O większego trudno zucha,
Jak był Stefek Burczymucha.
— Ja nikogo się nie boję.
Choćby niedźwiedź, to dostoję.
Wilki? Ja ich całą zgraję
Pozabijam i pokraję.

Ziemia się trzęsie, straż się grobu miesza
Anioł zstępuje, niewiasty pociesza:
„Patrzcie mówi im, grób się próżny został
Pan zmartwychwstał. Alleluja!

Odstąpcie od nas smutki i troski fale,
Gdy Pan Zbawiciel tryumfuje w chwale;
Ojcu Swojemu uczynił już zadość,
Nam niesie radość. Alleluja!

Po rezurekcji w domach odbywa się ceremonia składania wzajemnych życzeń, przy równoczesnym spożywaniu pokrajanych w tym celu jajek. Po złożeniu życzeń, zasiada się do stołu i spożywa święcone.

Dyngus jest tylko wspomnieniem przechowywanym przez starsze pokolenie, zwłaszcza kobiety, kiedy to wykupywały się, biegającym po domach z piosenką i prośbą o datki chłopakom, plackami lub datkami pieniężnymi. Śmigus natomiast przetrwał i oblewanie wodą stwarza niejedną wesoły moment, zwłaszcza, jeśli oblewanych zaskoczy w łóżku. Oblewanie wodą ograniczono jednak tylko do drugiego dnia święta w poniedziałek. Dwuwiersz:

„Od Wielkiej Nocy do Zielonych Świątek
Można dać Śmigus i w piątek“.

jest jedynie świadectwem, że zwyczaj oblewania wodą w ubiegłych latach stosowano dosyć długo.

W Haczowie zachował się zwyczaj „Prima Aprilis“ na 1-go kwietnia, zwany Zwodzicielem. Szczególną uciechę sprawia otoczeniu dobroduszną ofiarą, wprowadzona w błąd przez zręcznie podaną wiadomość, a okazująca się nieprawdziwą.

Lew? Cóż lew jest? — Kociak duży.
Naczytałem się podróży
I znam tego jegomości.
Co zły tylko, kiedy pości.
Szaka! wilk? Straszna nowina.
To jes. tylko większa psina.

(Brysia mijam zaś z łałka.
Bo nie lubię, gdy kto szczeka),
Komu zechcę, to dam radę.
Zaraz za ocean jadę
I nie będę Stefkiem chyba,
Jak nie chwycę wieloryba.
I tak przez dzień boży cały
I ząbkami serek skrobie.
Zuch nasz trąbi swe pochwały.
Aż raz usnął gdzieś na sianie.
Wtem się budzi niespodzianie,
Patrzy, a tu jakieś zwierzę
Do śniadania mu się bierze.
Jak nie zerwie się na nogi,

Jak nie wrzaśnie z wielkiej trwogi.
Pędzi, jakby chart ze smyczy.
— Tygrys, tato. Tygrys — krzyczy.
— Tygrys? — ojciec się zapyta
— Ach, lew może. Miał kopyta.
Straszne. Trzy czy cztery nogi,
Paszczę taką. Przy tym rogi...
— Gdzie to było?
— Tam, na sianie.
Właśnie porwał mi śniadanie.
Idzie ojciec, służba cała,
Patrzą... a tu myszka mała,
Polna myszka siedzi sobie

MARIA KONOPNICKA

S T E F E K B U R C Z Y M U C H A

INSCENIZACJA JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Z chwilą otwarcia kurtyny po lewej stronie z boku sceny stoi Narrator — chłopiec lub dziewczynka w wieku 8 — 10 lat.

NARRATOR:

O większego trudno zucha,
Jak był Stefek Burczymucha.

(Przy ostatnich słowach pochyla się lekko i robi prawą ręką ruch, który ma oznaczać: „Oto przedstawiam państwu Stefka Burczymuchę“.

Z prawej strony wchodzi energicznym krokiem chłopiec 8 — 9 letni ubrany w strój cowbojski, w kapelusz z szerokimi kreskami i z kijem, który ma imitować dzidę).

STEFEK: *(Po przejściu kilku kroków zatrzymuje się na środku sceny i mówi tonem przechwałki. wznosząc w górę dzidę):*

Ja nikogo się nie boję,
Choćby niedźwiedz to dostoję!

(Zniża dzidę robiąc krok do przodu, rozkłada ręce)

Wilki? Ja ich całą zgraję
Pozabijam i pokraję!

(Przy słowie „pozabijam“, robi ruch dzidą, jakby miał przed sobą wilka. Spacerując po scenie swobodnym krokiem, mówi dalej lekceważąco):

Lew? Cóż lew jest? — Kociak duży.
Naczytałem się podróży
I znam tego jegomości,
Co zły tylko kiedy pości.

(Zatrzymuje się, jakby się namyślał jakie tu jeszcze wymienić zwierzęta. Po chwili):

Szakał? Wilk? Straszna nowina.
To jest tylko większa psina.

(Nagle zmienia ton jakgdyby tłumaczy się, aby go nie posądzono o tchórzostwo).

Brysia mijam zaś z daleka,
Bo nie lubię gdy kto szczeka.

(Po tej nieprzyjemnej dla niego wzmiance o Brysiu, chwali się dalej swą odwagą).

Komu zechcę to dam radę.
Zaraz za ocean jadę
I nie będę Stefkiem chyba,
Gdy nie chwycę wieloryba!

(Wznosi dzidę w górę i wychodzi na prawo wielkimi krokami).

NARRATOR, (który w czasie tej sceny usunął się za boczne kulisy, znów ukazuje się i opowiada dalej):

I tak przez dzień boży cały
Zuch nasz trąbi swe pochwały.

(Robi krok wprzód i wznosząc lekko wskazujący palec prawej ręki, mówi ciszej jakby chciał zaciekawić słuchaczy przygodą Stefka):

Aż raz . . . usnął gdzieś na sianie . . .

(głośniej):

Wtem się budzi niespodzianie,
Patrzy . . . A tu jakieś zwierzę
do śniadania mu się bierze.

(silniej):

Jak nie zerwie się na nogi.
Jak nie wrzaśnie z wielkiej trwogi,
Pędzi jakby chart ze smyczy . . .

(W tej chwili z prawej strony wybiega

STEFEK bez kapelusza i dzidy, krzycząc):

Tygrys, tato, Tygrys *(Narrator kończy zdanie):* . . . krzyczy.

(Przy pierwszym okrzyku: „Tygrys“ z głębi sceny wychodzi chłopiec przebrany za ojca Stefka. Obaj spotykają się na środku sceny. Stefek trzęsie się cały, obejmuje ojca w pół i patrzy z lękiem w stronę skąd przed chwilą wyszedł).

OJCIEC: Tygrys?

NARRATOR, — (kończąc): ojciec się zapyta.

STEFEK (płaczliwym głosem, wciąż trzęsąc się cały):

Ach, lew może Miał kopyta.
Straszne. Trzy czy cztery nogi.

Paszcę taką. *(otwiera szeroko usta i pokazuje rękami jak wielka była paszcza zwierzęcia)*

. . . Przy tym rogi *(znowu pokazuje rękami).*

OJCIEC (spokojnie):

Gdzież to było?

STEFEK (wciąż krzykliwie i płaczliwie, wskazując ręką):

Tam, na sianie.

Właśnie porwał mi śniadanie.

(W czasie rozmowy Stefka z ojcem, w głębi ukazują się zwabieni krzykiem: kucharz z wielką łyżką, ogrodnik z grabiami i ogrodniczek z miotłą).

NARRATOR:

Idzie ojciec, służba cała.

Patrzą . . .

(Gdy Narrator zaczyna mówić, ojciec idzie we wskazanym przez Stefka kierunku, a za nim na palcach posuwają się: kucharz, ogrodnik i ogrodniczek — gotowi walczyć z potworem łyżką, miotłą i grabiami. Stefek zostaje na scenie sam, wciąż patrząc wystraszoną wzrokiem w bok sceny i dygocąc cały. Jęczy przy tym półgłosem).

NARRATOR (kończąc) . . .

A tu myszka mała,

Polna myszka siedzi sobie

I ząbkami serek skrobie.

(W czasie gdy to mówi, ojciec i kucharz wprowadzają na scenę małą dziewczynkę przebraną za myszkę. Trzyma ona w rękach kawałek sera. Za nimi idą ogrodnik i ogrodniczek. Stają przed Stefkiem i pokazując mu myszkę kiwają znacząco głowami. Myszka zjada spokojnie serek. Stefek przestaje się trząść. Staje zawstydzony ze spuszczoną głową. Cała grupa tworzy przez chwilę żywy obraz).

NARRATOR (powtarzając jeszcze raz):

O większego trudno zucha
Jak był Stefek Burczymucha.

ŚWIETLICA

technika pracy — zagadnienia kulturalne i oświatowe

ALEXANDER JANTA

O RUCHU POLSKICH KLUBÓW KULTURALNYCH W AMERYCIE

Pierwszy Polski Klub Artystyczny w Ameryce powstał przed przeszło trzydziestu laty. Była to spontaniczna inicjatywa ówczesnej młodzieży polsko-amerykańskiej w Chicago. Frazes patriotyczny o historycznych związkach między Polską a Ameryką przestał jej wystarczać. Nie robiło na nich wrażenia wymienianie Kościuszki i Pułaskiego, nazwisk, które każdy polityk, zabiegający o polskie głosy powtarza i zniekształca chętnie i często. Dla młodego pokolenia Amerykanów, których rodzice przyjechali z Polski, jako ludzie bez wykształcenia najczęściej, ale z serdecznym przywiązaniem do wszystkiego co miało jakkolwiek związek ze „starym krajem”, trzeba było argumentów bardziej rzeczowych i głębiej uzasadnionych, niż sam tylko sentyment ojców do nieznanego im, a ciągle przypominanej Polski. Trzeba było wiedzy, pozwalającej na prowadzenie rozmów o Polsce na poziomie ich amerykańskiego wykształcenia, które zdobywali na wyższych uczelniach albo w pracy zawodowej. Amerykanin polskiego pochodzenia wytłumaczyć przecież powinien co to jest Polska i czym jest polskość, to znaczy jej dzieje i jej kultura, kto są i skąd się wzięli ci ludzie, którzy na podbój Ameryki ruszyli późno, w czasie gdy wielu innych już się tu urządziło i już czuło jak u Pana Boga za piecem. Ci nowi, ci późniejsi zaczynać musieli, jak wiemy, od samego dna. To było pod koniec ubiegłego wieku, gdy szedł ogromną falą przypływ biedoty emigracyjnej z Europy, a między nimi masy polskie z kraju pod panowaniem Niemiec, Rosji i Austrii. Nikt im tutaj początków nie ułatwił. Ale odkąd stanęli na własnych nogach, cały wysiłek ich życia szedł w danie dzieciom tu urodzonym lepszym warunków startu, więc przede wszystkim wykształcenia, którego sami nie posiadali. Wykształcenie było tutejsze, amerykańskie. To czego dzieci uczono o Polsce szło z własnych wspomnień rodzicielskich albo przez szkołę

parafialną. Język polski nabywany w niej wystarczył najwyżej do rozmów z rodzicami do słuchania kazań i powtarzania modlitwy. Osiągnięte w tych warunkach rozumienie Polski jako pojęcia historycznego, politycznego czy też kulturalnego nie przekraczało jednak szkoły elementarnej. Nie mogło więc wystarczyć dla zaspokojenia ciekawości inteligentniejszych współobywateli amerykańskich, a tym bardziej dla uzasadnienia dumy z własnego rodowodu, jaka tak była potrzebna drugiemu pokoleniu polskiemu w Ameryce. Prowadziło to do tworzenia się kompleksów — kompleksów niższości przede wszystkim. Prowadziło do odsuwania młodzieży o wykształceniu amerykańskim od polskich organizacji patriotycznych i politycznych. Prowadziło wreszcie do wstydliwego zatajania swojej rodzimej polskości.

Tak przedstawiały się niedostatki polskiego życia w Ameryce jako grunt, na którym w spontanicznym odruchu w kilku ośrodkach niemal jednocześnie zakiełkowała idea Klubów. Program propagowania wiedzy o polskiej kulturze w Ameryce stwarzał po raz pierwszy w społeczeństwie polonijnym sposobność dyskusowania problemu jakie jest w ogóle miejsce dla polskiego życia kulturalnego w Ameryce? Inaczej przedstawiało się to zagadnienie w okresie między dwoma wojnami, inaczej wygląda dzisiaj. Ale pytanie jest ciągle aktualne. Znam odruchy zgorznienia niektórych Polaków, gdy dowiadują się, że np. obrady Zjazdu Polskich Klubów Kulturalnych odbywają się w języku angielskim, że staramy się również, aby programy artystyczne Klubów prowadzone były możliwie w języku rozumianym lepiej przez większość młodzieży polsko-amerykańskiej, nie mówiąc o samych Amerykanach. Decyzja, aby tak było, jest to w naszym rozumieniu, wynik uczciwego rozeznania istniejących warunków

i potrzeb i wyciągnięcie z tego rozeznania wniosku.

Polskie Kluby Kulturalne w Stanach Zjednoczonych wyłoniły w r. 1948 organizację nadrzędną w postaci Amerykańskiej Rady Polskich Klubów Kulturalnych, w ramach której przyjęły wspólny program i zjeżdżają się co roku na wspólny zjazd. Wydaje mi się, że nie przesadzę, mówiąc, że te doroczne Zjazdy Amerykańskiej Rady Polskich Klubów Kulturalnych są najciekawszymi polskimi zjazdami w Ameryce. Niestety w prasie polonijnej, a także w polskim życiu społecznym Ameryki nie poświęca się im ani w przybliżeniu tej uwagi i tego zainteresowania na jaki zasługują.

* * *

Odkąd związałem się z pracą już blisko dziesięć lat z ruchem Klubów Kulturalnych wśród Polonii amerykańskiej, zawsze byłem zwolennikiem zasady, aby doroczne zjazdy organizować w mniejszych raczej niż większych skupiskach Ameryki. Chodziło o wiązanie ich także z uniwersytetami lub kolegiami, a to znaczy w polskiej terminologii z uczelniami o poziomie co najmniej licealnym. Od roku 1952 wprowadziliśmy to założenie w życie, budując tradycję, która teraz weszła szczęśliwie w krew naszym organizatorom. Mieliśmy w rezultacie w r. 1953 doroczny zjazd Rady na uniwersytecie Notre Dame w South Bend, Indiana, w 1954 na uniwersytecie Seton Hall, w South Orange, New Jersey, w 1955 odbyła się pamiętna i po dziś dzień wspomniana jako chyba najpiękniejsza z imprez stulecia mickiewiczowskiego w Ameryce, czterodniowa konwencja, poświęcona twórczości Adama na uniwersytecie w Buffalo, w 1956 spotkaliśmy się na uniwersytecie Northwestern w miejscowości Evanston w najbliższym sąsiedztwie Chicago, w 1957 wybór padł na Uniwersytet Duquesne w Pittsburgu, wreszcie w 1958 na uniwersytecie Rochester. Każdy z tych Zjazdów jest niby dorocznym przeglądem działalności poszczególnych Klubów, których jest w całej Ameryce około piętnaście wszystkiego. Mówię „około“, gdyż liczba ta zmienia się w zależności od różnych lokalnych warunków i miejscowych ludzi. Niektóre Kluby usypiają lub gasną, powstają w ich miejsce inne, a zdarza się także, że organizacje o zamiarach nie zawsze skryształizowanych w kierunku zainteresowań kulturalnych, nagle budzą w sobie ambicję łączenia się z istniejącą Radą Klubów, tym samym przyjmując jej program. Trzeba tu przypomnieć i podkreślić, że w społeczeństwie polsko-amerykańskim stanowią one chyba

jedną z najmniejszych liczbowo organizacji, posiadających oddziały wśród ośrodków polskich całej Ameryki. Nie wiem, czy doliczylibyśmy się tysiąca członków wszystkiego, gdyby podsumować ich liczbę, zgłaszaną rok rocznie przez poszczególne Kluby w sprawozdaniach na Zjeździe. To też nie w liczbie członków upatrywać należy ich znaczenie ani sądzić ilością Klubów jaka przypada im nie tylko w polskim życiu Ameryki, ale także w życiu amerykańskim.

* * *

Polskie Kluby Kulturalne są zakładane, aby służyć lepszemu zrozumieniu tych wkładów i wartości kulturalnych w życiu amerykańskim, jakie poczęte są z polskiego ducha nie tylko w przeszłości, ale uwzględniają także twórcze osiągnięcia współczesne. Statut Amerykańskiej Rady Polskich Klubów Kulturalnych wyjaśnia zasadnicze przyczyny utworzenia jej i roli, jaką odegrać powinna w życiu amerykańskim. Powstała ona i prowadzi działalność swoją dla zachowania i rozwijania kultury, wywodzącej się z rodowodu tych uczestników jej pracy, którzy sami są polskiego pochodzenia; aby pobudzić do wyższych studiów młodzież polskiego pochodzenia, rozwijając jej dumę w oparciu o świadomości własnego dziedzictwa wśród współobywateli Amerykanów, wreszcie dla z bogacenia tworzących się wartości kultury amerykańskiej przez wkład tego, co jest najlepsze w osiągnięciach i podniętach płynących z polskiego źródła.

Cele i zamiary Amerykańskiej Rady Polskich Klubów Kulturalnych, która określona została jako „oficjalna reprezentacja i kierownictwo o charakterze ogólno-amerykańskim dla związanych z nią i odpowiednio ukonstytuowanych organizacji“ są następujące:

1. Utrzymywanie ośrodka dla wymiany informacji i projektów dotyczących propagowania kultury polskiej w Ameryce, jeżeli wymagają one inicjatywy i akcji na skalę krajową.

2. Projektowanie programów i proponowanie planów działalności kulturalnej, która obudzić może ciekawość i dostarczyć afiliowanemu klubom odpowiednich wskazówek dla spełnienia tych celów.

3. Zachęcanie do tworzenia nowych klubów, szczególnie w takich ośrodkach, gdzie żadne polskie kulturalne organizacje dotąd nie istnieją.

4. Współpracowanie z innymi polskimi lub polsko-amerykańskimi organizacjami o podobnych założeniach i celach, dla utrzymania

żywego kontaktu z twórczymi siłami współczesnego polskiego życia kulturalnego.

Wyżej wymienione sformułowania statutu Rady przyjęte zostały jako wytyczne pracy jej w czasie konwencji w r. 1953, na której inauguracyjne przemówienie o znaczeniu związków kulturalnych w świecie współczesnym wygłosił profesor Florian Znaniecki. Brał on również żywy udział w dyskusji nad projektowaną zmianą statutu tak, że powiedziec można, iż wymienione wyżej sformułowania dokonane zostały przy jego wydatnej współpracy. Drugi to już, po profesorze Romanie Dybowski, wielki uczony polski, któ-

ry ruchowi Klubów Kulturalnych w życiu Polonii amerykańskiej przypisywał wyjątkowe, żeby nie powiedzieć kluczowe dla jej rozwoju znaczenie.

Na podstawie osiągnięć jakie zanotować można na przestrzeni ostatnich lat w związku z ruchem Polskich Klubów Kulturalnych, zwłaszcza zaś, gdy idzie o ich wpływ na młodzież polsko-amerykańską, stwierdzić trzeba, że zarówno program tych Klubów, jak i nowe w życiu polsko-amerykańskim podejście do zadań Polonii w Ameryce, niesie w sobie zapowiedź przemian, które prowadzą w przyszłość.

STANISŁAW IŁOWSKI

Z N A S Z Y C H T R A D Y C Y J

Polskie teatry lalek wywodzą się niewątpliwie z ruchu amatorskiego, który bierze swe początki z obrzędów religijnych, z szopki bożonarodzeniowej. Mają one specyfikę niespotykaną u innych narodów i tu należy doszukiwać się początków amatorskiego teatru lalek w Polsce.

Szopki pojawiają się gdzieś u schyłku XII wieku i łączy się z działalnością franciszkanów. Najstarsze lalki pierwotnej szopki zachowały się w klasztorach krakowskich, ufundowanych przez Elżbietę Łokietkównę, siostrę Kazimierza Wielkiego. Dokładniejsze opisy i wiadomości znajdujemy dopiero w pamiętnikach kronikarza Jędrzeja Kitowicza (1727 — 1804) pt. „Opis obyczajów za panowania Augusta III“. Kitowicz nie potrafi podać, od kiedy przyjął się w Polsce zwyczaj urządzania szopki, ale opisuje ją dokładnie z okresu swojej młodości „...kiedy nastąpiły do Polski, nie wiem, jak jednak pamięcią zasięgam, we wszystkich kościołach były używane; obchodzono je tak, jak groby wielkopiątkowe, lubo mało co ludzie stateczni, tylko najwięcej matki, mamki i piastunki z dziećmi, studenci z dyrektorami i młodzież doroślejsza obojej płci, pospólstwo zaś drobne niemal wszystko... Była to w pośrodku szopka mała na czterech słupkach, daszek słomiany mająca, wielkości na szerz, dłuż i na wysz łokciowej; pod tą szopką zrobiony był żłóbek...“ Przy tej skromnej jakby scenerii przewija się cały już korowód lalek wyobrażających nie tylko sceny adoracji, ale po prostu sceny rodzajowe pełne realizmu: „dalej za szopką po obu stronach pastuszkowie i wieśniacy: jedni pasący trzody owiec i bydła, inni śpiący, inni do szopy śpieszący, dźwigający na ramionach bara-

ny, kozły; między którymi osóbkami rozmaity stan ludzi i ich zabawy wyrażające: panów w karetach jadących, szlachtę i mieszczan pieszo idących, chłopów na targ wiozących drwa, zboże, siano, prowadzących woły, orzących pługami, sprzedających chleby, szynki, różne trunki szynkujące, niewiasty robiące masło, dojące krowy, Żydów różne towary do sprzedania na rękę trzymających, i tym podobne akcyjne ludzkie“.

I tu następuje przeobrażenie szopki liturgicznej w teatr ludowy. Opisuje to Kitowicz bardzo szczegółowo: „Gdy zaś nastąpiło święto Trzech Królów, tedy przystawiano do tych jasełek osóbkami pomienionych świętych, kłęzących przed narodzonym Chrystusem, ofiarujących Mu złoto, myrrę i kadzidło, a za nimi orszak ich dworzan i asystencyi rozmaitego gatunku: Persów, Arabów, Murzynów, laurfów, masztalerzów prowadzących konie pod bogatymi siądzeniami, słońców, wielbłądów. To dopiero wojska rozmaitego gatunku: jezdne i piesze, murzyńskie i białych ludzi, namioty porozbijane, na koniec przez imaginacją, za związek rzeczy występującą, regimenta uszykowane polskiej gwardyi, pruskie, moskiewskie, armaty, chorągwie jezdne, usarskie, pancerne, ułańskie, kozackie, rajtar-skie, węgierskie i inne rozmaite.

Na takie jasełka sadzili się jedni nad drugich, najbardziej zakonnicy. Celowali zaś innych wszystkich wielkością i kształtnością Kapucyni; a gdy te jasełka, rok rocznie w jednakowej postaci wystawiane jako martwe posągi nie wzniewały w ludziach stygnącej ciekawości, przeto Reformaci, Bernadyni i Franciszkanie dla większego powabu ludu do swoich kościołów, jasełkom przydadli rucha-

wości, między osóbkami stojące mieszając chwila-
mi ruszane, które przez szpary, w rusztowa-
niu na ten koniec zrobione, wytykając na wi-
dok braciszkuwie zakonni lub inni posługacze
klasztorni, rozmaite figle nimi wyrabiali. Tam
Żyd wytrząsał futrem pokazując go z obu
stron, jakoby do sprzedania, które nadchodzą-
cy z nienacka żołnierz Żydowi porywał. Żyd
futra z ręki wypuścić nie chciał. Żołnierz Ży-
da bił, Żyd porzuciwszy futro, uciekał.. Żoł-
nierz wydarte futro sprzedawał nadchodzące-
mu mieszczaninowi, a wtem Żyd skrzywdzo-
ny pokazywał się niespodzianie z żołnierza-
mi i instygatorem, biorącym pod wartość żoł-
nierza sprzedającego futro i mieszczanina ku-
pującego. Gdy taka scena zniknęła, pokazała
się druga, na przykład: chłopów pijanych bi-
jących się pałkami, albo szynkarka tańcząca
z gachem i potem od diabła razem oboje po-
rwani, albo śmierć z diabłem najprzód tańcu-
jąca, a potem się bijące z sobą i w bitwie zni-
kające. To znowu musztrujący się żołnierze,
tracze drzewo trący i inne tym podobne akcy-
je ludzkie do wyrażenia łatwiejsze, które to
fraszki dziecinne tak się ludowi prostemu i
młodzieży podobały, że kościoły napełnione
były spektatorem, podnoszącym się na ławki
i na ołtarze włączającym; a gdy ta zgraja, tłó-
cząc się i przymykając jedna przed drugą,
zbliżyła się na metę założoną do jasełek, wy-
padał wtenczas spod rusztowania, na którym
stały jasełka, jaki sługa kościelny z batogiem
i kropiąc nim żywo bliżej nawinionych, nową
czynił reprezentacją, dalszemu spektatorowi
daleko śmieszniejszą od akcyj jasełkowych.
kiedy uciekający w tył przed batogiem, jed-
ni przez drugich na kupy się wywracali, dru-
dzy rzeźwo z ławek i z ołtarzów zeskakując
jedni na drugich padali, tłukąc sobie łby, bo-
ki, ręce i nogi, albo guzy i sińce bolesne o
twarde uderzenia odbierając.. Gdy takowe
reprezentacje coraz bardziej wzmagając się
doszły do ostatniego nieprzyzwoitości stopnia,
ksiądz Teodor Czartoryski, biskup poznański,
zakazał ich“..

Tak więc nakaz biskupi w roku 1739 dał nie-
jako początek polskiemu teatrowi lalek. Bo
przecież szopka usunięta z kościołów przeszła
w ręce żaków i stała się teatrem wędrownym
ludu polskiego. Jak wyglądały teksty takiej
szopki, która doszła do „ostatniego nieprzy-
zwoitości stopnia“ możemy sobie wyobrazić
nie tylko z sytuacji opisanej przez Kitowicza,
ale ze zbioru pastorałek i kolęd, wydane-
go przez księdza Mioduszewskiego w roku 1843,
gdzie sumienny zbieracz musiał wykropko-
wać nieprzyzwoite wyrazy w takiej oto for-
mie:

Porwał się jeden z prędką za nami,
Zapomniał w domu butów z g...
Nie wytrwasz tu miły bracie,
Idź po buty, idź po g...
Hej kolenda, kolenda.

Rzecz godna uwagi, że lud prosty, w ręce
którego przeszła szopka, potrafił doskonale
odróżnić piękno od brzydoty i dewocji. Po-
zostawił szopce rzecz najwyższego arcyzmu:
architekturę kościołów, w jakiej po dziś dzień
swe szopki buduje i wyraźnie odsunął banal-
ne teksty, zastępując je nową treścią świecką.
Pisze o tym wnikliwie kronikarz naszych
czasów J Sztaudynger w swojej książce
„Marionetki“: „Otóż szopki (a już krakowska
zwłaszcza) przez dygnitarzy duchownych na
banicję skazane, wyszedłszy z kościołów na
ulicę i tułając się odtąd przez długie lata po
przedzionskach i domach prywatnych, wyca-
rowały nad sobą wieże i kopuły niegościny-
nych przybytków. Mur i cegły zastąpiła tek-
tura i papier. Gotyk strzelistości połączył się
z barokiem szczegółów, dając dziwną syntezę
stylów kościelnych Krakowa. wypływającą u
szopkarzy z tęsknoty za utraconym... Co do
mnie, aczkolwiek widziałem wiele lepszych
teatrów, jeśli idzie o doskonałość techniki czy
repertuaru; przyznać muszę, że nie spotka-
łem za granicą niczego, co by dorównywało
pod względem piękności naszej szopce“.

Dumni jesteśmy z tej naszej postępowej
tradycji. Rok rocznie odbywa się w Krakowie
konkurs z nagrodami dla budowniczych naj-
piękniejszych szopek. Szopkę krakowską ofia-
rowano też znakomitemu artyście S. Obrac-
cowowi podczas jego pobytu w Polsce. Teatr
„Lalka“ w Warszawie ustawił w hallu swego
teatru wspaniałą oryginalny budynek szopki
krakowskiej wraz z kompletem lalek, nawią-
zując w tej formie do naszej pięknej tradycji.
Tradycja szopki znalazła przed laty swoje od-
bicie w programie Zielonego Balonika, który
w roku 1905 w Krakowie rozpoczął swój
chwalebny żywot. Teksty do szopki Zielone-
go Balonika pisywał Boy-Żeleński, a lalki
projektowali i realizowali najwybitniejsi ma-
larze ówczesnej cyganerii krakowskiej.
Wśród wykonawców szopki znajdujemy takie
nazwiska jak Leon Schiller i Teofil Trzciniński.
Szopka smagała biczem satyry całe kołtuń-
stwo i filisterstwo krakowskiego światka, nie
wykluczając postaci udrapowanych w togi
rektorskie czy kontusze jaśniepańskie.

W okresie plebiscytu na Śląsku wyjechały
dwie ekipy z ramienia Lwowskiego Związku
Teatrów i Chórów Ludowych z szopką, aby

przy pomocy specjalnie napisanych tekstów przyczynić się do zwycięstwa ludu śląskiego w walce z germanizacją.

Trwałą pracą artystyczną rozpoczął dopiero Teatr Baj, który powstał w Warszawie w roku 1928. Inicjatorem i pierwszym kierownikiem teatru kukiełek Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci był artysta dramatyczny Szczepan Baczyński, zaś od roku 1931 objął kierownictwo teatru „Baj“ Jan Wesołowski. Grono młodych amatorskich wówczas sił stanowili przede wszystkim nauczyciele warszawskich szkół. Wielką zasługą tego zespołu jest to, że potrafił pracować nieprzerwanie nawet przez lata wojny. A nie były to sprawy tak łatwe jakby się wydawało. Teatr nie miał żadnych środków finansowych, nie posiadał dostatecznych wzorów artystycznych, aby z nich czerpać jakieś natchnienie w pierwszych poczynaniach. Nic też dziwnego, że sięgnął do niezawodnych w takim wypadku tradycji i wprowadził do swego teatru technikę kukiełkową, tj. taką, jaką stosowano w tradycyjnej szopce. Proste i prawie nie zmechanizowane kukły mają osobliwy urok właśnie przez swoją kukłową fakturę. Już w tych pierwszych początkach „Baja“ powstał specjalny repertuar, który po dziś dzień grywany jest przez wszystkie teatry polskie, a sztuka Marii Kownackiej „O dzielnym szewczyku“ stanowi niejako fundament klasycznego repertuaru polskiego lalkarstwa. Teatr Baj prowadził nie tylko pracę pionierską, ale i walkę z zacofaniem i reakcją. Dowodem tego jest artykuł Jana Wesołowskiego „*Nie wychowujemy marionetek lecz za pomocą marionetek*“ zamieszczony w nr 7/8 miesięcznika Teatr Ludowy z roku 1938, w którym czytamy: „*Stawne zdanie p. Premiera, odmawiającego teatrowi dla dzieci jako środkowi wychowawczemu celowości i pożyteczności stosowania go w Polsce, nie wywołało głośniejszego sprzeciwu. Nie znaczy to jednak, by ludzie umiejący czuć artystycznie i myśleć pedagogicznie, a patrzący w przyszłość kultury polskiej, mogli pogodzić się z wyżej wspomnianym twierdzeniem. Sądzę, że obowiązkiem każdego człowieka, który rozumie szkodliwość wygłaszanego przez kogoś zdania, jest ucziwie przeciwstawienie się mu, bez względu na to, czy autorem szkodliwego twierdzenia jest osoba „s eregowca“, czy „koronowana“.*

Sytuacja teatrów lalek zmieniła się zupełnie po wojnie. Powstały teatry zawodowe, z których 23 zostało upaństwowionych. Ruch aktorski, mimo pozornie sprzyjających warunków nie wykazał dużej żywotności. Nie

liczne zespoły działają właściwie tylko od konkursu do konkursu poderwane sztucznym zastrzykiem specjalnej akcji propagandowej i werbunkowej. Konkursy te jednak przynoszą często szkody miast pożytku. Działający od 24 lat amatorski teatr Baj-Baju w Zawierciu, po zdobyciu pierwszego miejsca w ogólnopolskich konkursach stanął bezradny wobec hamletowskiego problemu: „być, albo nie być“ Tak mu konkursy dogodziły. Tu i ówdzie spotyka się jeszcze zespoły szkolne, które nie posiadają odpowiednich warunków i opieki, aby się należycie rozwinąć. Pomoc udzielana w ramach akcji społecznej przez teatry zawodowe jest nie wystarczająca. Poza tym kontakty te mają tę ujemną stronę, że podopieczne teatry amatorskie usiłują za wszelką cenę naśladować we wszystkim teatry zawodowe. A przecież inne są cele, zadania, środki i możliwości zespołów amatorskich, zupełnie zaś odmienne teatrów zawodowych. Spotykamy nawet teatry szkolne, które się chlubią takim „osiągnięciem“, że dają ponad 50 przedstawień jednej sztuki w ciągu roku. A przecież teatr szkolny ma inne cele, bardziej wychowawcze niż konkutowanie z teatrem zawodowym, co do ilości przedstawień.

Poważnym kłopotem dla ruchu amatorskiego jest zupełny brak jakichkolwiek publikacji przeznaczonych dla ruchu amatorskiego. W latach międzywojennych oprócz stałych artykułów w miesięczniku „Teatr Ludowy“ i w miesięczniku „Teatr Szkolny“ wychodziło pismo „Bał u lał“, redagowane przez J. Sztudyngera. Księgarnie posiadały ogromny wprost sortyment repertuaru. Dziś sytuacja znacznie się pogorszyła, a jedyne pismo, które z wielkim pożytkiem zaspakajało potrzeby teatrów szkolnych i świetlicowych, kwartalnik „Teatr Lalek“ przestało wychodzić. Od wielu lat nie ukazała się również ani jedna pozycja repertuarowa w druku. Stąd też do redakcji przychodzą od nauczycieli takie listy: „*Kukły już mamy gotowe, ale nie możemy nigdzie zdobyć sztuki, do której te kukły zostały zrobione*“. Wiele jeszcze trzeba zrobić, aby teatry lalek zajęły właściwą pozycję w amatorskim ruchu artystycznym. Wielka odnowa życia politycznego, jaka się rozpoczęła w Polsce, budzi również nadzieję, że i ruch artystyczny odrodzi się w zdrowszych niż dotąd formach organizacyjnych, a wraz z nim zostanie wreszcie teatr lalek ustawiony na właściwym miejscu i dozna troskliwszej niż dotąd opieki. Wieloletnie administrowanie urzędnicze ruchem amator-

skim przyniosło wiele szkody i powinno być zamienione na ruch społeczny, oparty na zdrowych i wypróbowanych zasadach organizacji społecznych. Zanim to nastąpi trzeba rozpocząć akcję wstępną, zmierzającą do upowszechnienia tego par excellence teatru ludowego i szkolnego jakim jest teatr lalek.

Wiele tu zrobić mogą zakłady kształcenia kadr nauczycielskich. Dlatego też należy niezwłocznie przystąpić w liceach i szkołach pedagogicznych do organizowania planowej akcji, mającej na celu wyszkolenie w zakresie kukiełkarstwa młodego narybku nauczycielskiego. Wiadomo bowiem, że kukielka w szkole, to jeden z wypróbowanych i niezawodnych instrumentów oddziaływania wychowawczego wobec dzieci i młodzieży.

Przemawia za tym nie tylko nasza wielowiekowa tradycja, ale codzienna potrzeba artystycznego wyzycia się młodzieży szkolnej, dla której innego rodzaju teatru są jeszcze mało dostępne^{*}).

A przemawia za tym nie tylko nasza wielowiekowa tradycja, ale codzienna potrzeba artystycznego wyzycia się młodzieży szkolnej, dla której innego rodzaju teatru są jeszcze mało dostępne^{*}).

^{*}) Artykuł niniejszy przedrukowany za zezwoleniem Autora z miesięcznika „Teatr Lalek” Nr 1. 1957. Z dziedziny teatru lalek zob. artykuł tegoż p. St. Bowskiego w „Poradniku” 1957 r. Nr 205/206, str. 4 i nast. Przy okazji podajemy do wiadomości, że miesięcznik „Teatr Lalek” zlikwidowany w 1953 r., znowu zaczął się ukazywać. Adres administracji tego miesięcznika: Łódź, Piotrkowska 150. (Redakcja).

POLACY W KULTURZE ŚWIATA

FRANCISZEK KAPELIŃSKI

BRONISŁAW MALINOWSKI (1884—1924)

FILOZOF KULTURY WOLNOŚCI I TOLERANCJI

Dokończenie

WKŁAD FUNKCJONALIZMU DO INNYCH NAUK

Przedstawiając swą naukową funkcjonalną teorię kultury Malinowski podkreśla, że znajomość kultury jako „najszerzego kontekstu ludzkiego zachowania się (widest context of human behaviour) odda wiele usługi innym naukom humanistycznym. Znajomość taka jest niezbędna dla psychologa, socjologa, historyka, lingwisty, ekonomisty, prawnika („A Sc. Th. of Culture“ str. 5).

LINGWISTYKA

Słowa Malinowskiego, że „lingwistyka przyszłości, a zwłaszcza nauka o znaczeniu, stanie się studiowaniem języka w kontekście kultury“ (Ib.) doczekały się już spełnienia. Teza, że mowa jest trybem zachowania się w kontekście kultury, częścią „phatic communion“ społecznej, środkiem działania, częścią czynności ludzkich („The Problem of Meaning“) albo jak to lapidarnie ujmuje: „mowa

to znaczy gesty słowne“ (speech that is the verbal gestures related to the bodily state of the speakers“ — „A Nation-wide Intel. Serv.“ s. 98) — leży u podstaw nowoczesnych metod nauczania języków obcych i studiów lingwistycznych w ogóle^{*}.

^{*}) P. Hoijer: „*Language in Culture. — Conference on the interrelation of language and other aspects of culture*“. Univ. of Chicago Press, 1954; C. K. Ogden & I. A. Richards: „*The Meaning of Meaning*“, London, 1923 (do którego dołączona jest rozprawa Malinowskiego); C. C. Fries: „*Teaching & Learning English as a Foreign Language*“, Univ. of Michigan Press 1954 i in. Malinowski rozwija swą teorię poza w.w. rozprawą m.in. w „*Classificatory Particles in the Language of Kiriwina*“, „*Argonauts of the Western Pacific*“, „*The Sexual Life of Savages in N. W. Melanesia*“ i najobszerniej w „*Coral Gardens and their Magic*“. Polaków zainteresuje fakt, że cytuje Jana Rozwadowskiego. Obszerniejsze omówienie M. teorii języka daje J. Heydzianka-Pilatowa: „*Problemy językowe w pracach Bronisława Malinowskiego*“ VII Roczn. Pol. Twa Nauk. na Obcz. 1956/57, zob. również moje „*Teaching English at Short Intensive Courses*“, którego streszczenie ukazało się w VIII Roczniku — 1957/58).

PRAWO I EKONOMIA

„Nauka prawa, pisze Malinowski, stopniowo zaczyna widzieć prawo nie jako zamkniętą w sobie dyscyplinę naukową gałąź wiedzy (universe of discourse), ale jako jeden z szeregu systemów społecznych kontroli, w którym pojęcia celu, wartości, hamulców moralnych i siły zwyczaju muszą być uwzględnione obok czysto formalnego aparatu kodeksu, sądu i policji“. (A Sc. Th. of Culture“ str. 5).

Dzieło Malinowskiego „Crime and Custom in Savage Society“ wywarło duży wpływ na poprawę wymiaru sprawiedliwości w koloniach. Dziś prowadzi się naukową analizę tubylczych systemów prawnych i studiuje funkcjonowanie sądów plemiennych.

Naukom ekonomicznym radzi Malinowski opierać studia nie na ekonomicznej abstrakcji, a na studium rzeczowego człowieka, poruszającego się w złożonym wielo-wymiarowym splocie interesów kulturalnych. Podkreśla, że nowoczesne tendencje w ekonomii — „instytucjonalne, psychologiczne czy historyczne“ umieszczają „Homo oeconomicus“ w kontekście jego skomplikowanego, częściowo racjonalnego, częściowo emocjonalnego układu kulturowego. Prace M.: „The Economic Aspect of the Intichiuma Ceremonies“, „Argonauts of the Western Pacific“ rzuciły nowe światło na gospodarkę ludów prymitywnych, a późniejsze jego wystąpienia, a zwłaszcza „The Dynamics of Culture Change“ odegrały dużą rolę praktyczną przez inspirowanie konieczności pomocy ekonomicznej na wielką skalę dla krajów zacofanych, („underdeveloped countries“), wskazywanie skutków społecznych i gospodarczych wyzysku ekonomicznego ludów prymitywnych i konieczności reform.

PSYCHOLOGIA (PSYCHOANALIZA)

Obserwacje Malinowskiego na wyspach Trobriandzkich postawiły pod znakiem zapytania teorię Freuda w jej pierwotnej formie, wywołując wielką sensację naukową. Freudowski kompleks Edypa na Trobriandach nie występuje. W tym matrilinealnym społeczeństwie na jego miejsce występuje kompleks w odniesieniu do wuja (brata matki, który jest głową rodziny) i do siostry, w stosunku do których obowiązuje tam najwyższe tabu. Innymi słowy nie kompleks jest źródłem tabu seksualnych, a tabu jest źródłem kompleksu. Powstanie zaś tabu jest uwarunkowane strukturą rodziny, a więc kontekstem kultury danego społeczeństwa. Małżeństwo i rodzina są

bowiem instytucjami społecznymi — kulturowymi. („Sex and Repr.“ str. 279, 295 i nast.).

Zaatakowany przez freudystów (Dr. Jones) w sposób dość gwałtowny, Malinowski zauważywszy złośliwie, że Freud uważa za uniwersalne cechy ludzkie patologiczne zjawiska w społeczeństwie wysoce cywilizowanym, w którym sam się wychował, rozwija obszernie swe poglądy w zakresie psychoanalizy w dziełach „Sex and Repression in Savage Society“ i „The Sexual Life of Savages in N. W. Melanesia“.

Podstawową jego tezą jest, że popęd płciowy jest ważną, ale nie jedyną potrzebą naturalną ludzką i jak inne potrzeby ludzkie występuje w formie zmodyfikowanej przez kulturę. Freudowska teoria erotyzmu niemowląt jest oparta na nieporozumieniu. Dziecko tuli się do matki dla zaspokojenia potrzeby pożywienia, ciepła i opieki — a nie dlatego, że w ten sposób zaspakaja popęd płciowy. Tłumaczenie Freuda jest niezgodne z funkcjonalną analizą. Podobieństwo jednak kontaktu cielesnego syna z matką — przedmiotem czci — do doświadczeń erotycznych, które syn zaczyna przeżywać jako młodzieniec, może budzić w nim niepokojące i ambarasujące zlewanie się wczesnych wspomnień z nowymi doświadczeniami. Takie odczucie wydaje się mu łamać cały kontekst kulturowy rodziny, narzucony przez tradycję — najuroczystsze tabu społeczne. Stąd poczucie własnej hańby i winy, prowadzące do represji uczucia do podświadomości, może retrospektywnie powodować kompleks Edypa w stosunku do matki. Drugi zaś aspekt tego kompleksu: ambiwalentne uczucie miłości i nienawiści do ojca ma swe źródło w charakterze ludzkiej rodziny, która ma na celu nie tylko podtrzymanie gatunku jak u zwierząt, ale i zapewnienie ciągłości kultury. Ojciec, który dla niemowlęcia był symbolem tkliwej opieki, staje się potem jako nauczyciel kultury reprezentantem prawa i władzy, obowiązków plemiennych, represyjnych tabu społecznych, przymusu, moralności i ograniczających sił społecznych. W społeczeństwie matrilinealnym te dwie funkcje ojca są rozdzielone: nauczycielem kultury jest wuj i przeciwko niemu właśnie w pewnym okresie kieruje się bunt chłopca, podczas gdy ojciec pozostaje zawsze przedmiotem tkliwego przywiązania.

Szczególnie ostro atakuje Malinowski dalsze szczeble freudowskiej teorii: pojęcie prahordy i prazbrodni, która w drodze ekspiacji miała dać początek kulturze, religii, naukom, sztuce i całej organizacji społecznej. Złośliwie powiada, że łatwo spostrzec że ta pra-

horda została wyposażona we wszystkie uprzedzenia i złe humory inteligentkiej (middle-class) rodziny europejskiej i wypuszczona do dżungli przedhistorycznej, aby tam szaleć w bardzo atrakcyjnej, ale fantastycznej hipotezie.

TEORIA POCZĄTKÓW KULTURY

Obalając ideę prahordy i prazbrodni jako fantastyczną i sprzeczną w samym założeniu (sumienie, zdolność ustawodawcza, tworzenia norm moralnych, ceremonii religijnych i więzów społecznych — to wszystko cechy (traits) ludzkie, wykształcone przez kulturę i jak najbardziej odległe od stanu natury), Malinowski przedstawia własny pogląd na powstanie kultury:

„Przejście ze stanu natury do stanu kultury nie dokonało się jednym skokiem... Musimy sobie wyobrazić wczesny rozwój pierwszych elementów kultury — mowy, tradycji, wynalazków materialnych, myślenia konceptualnego — jako bardzo mozolny i wolniutki proces, dokonywany się w sposób kumulatywny przez nieskończenie wiele małych kroków, sumujących się (integrated) na przestrzeni ogromnego okresu czasu. Nie możemy się kuścisć o szczegółowe zrekonstruowanie tego procesu, możemy jednak sformułować istotne (relevant) czynniki zmiany, możemy analizować sytuację wczesnej kultury ludzkiej i w pewnych granicach ukazać mechanikę jej powstawania“. („Sex and Repr.“ str. 165 i nast.).

Człowiek różni się od zwierzęcia tym, że:

- 1) dysponuje zespołem posiadanych dóbr materialnych (oręż, narzędzia, dom),
- 2) żyje w ramach jakiegoś typu organizacji społecznej,
- 3) komunikuje się przy pomocy języka,
- 4) kieruje się systemem wartości duchowych.

Początek kultury implikuje represję instynktów — i powstawanie elementów kompleksu Edypa i innych — jako produktów ubocznych stopniowego formowania się kultury. Kompleksy nie istnieją bowiem w rodzinach zwierzęcych, którymi rządzą instynkty. („Sex and Repr.“ str. 180).

Rodzina ludzka — najważniejsza grupa w społeczeństwach prymitywnych — nie jest produktem zwierzęcego instynktu rodzinnego, ale jego kulturowym substytutem i różni się zasadniczo od rodziny zwierzęcej tym, że jest zdefiniowana przez zwyczajowe, etyczne i prawne normy i że więzy rodzinne nie koń-

czą się jak u zwierząt z chwilą dorobnięcia dzieci. („Sex and Repr.“ str. 184, 229 i nast., „The family among the Australian Aborigines“ str. 303).

Okres rui u zwierząt ogranicza w czasie ich aktywność płciową. Brak tego okresu u ludzi dezorganizowałby ich życie. Dla tego kultura zastąpiła go instytucją zalotów (courtship), obwarowaną tabu społecznymi, regulując w ten sposób działanie impulsu płciowego. Występuje tu „uplastycznienie instynktów“ (plasticity of instincts): moment uaktywnienia impulsu, zachęta (inducement) do zalotów, motyw wyboru określonego partnera — są podyktowane przez urządzenia kulturowe (cultural arrangements). W odróżnieniu od zwierząt stosunek płciowy u ludzi nie stanowi jeszcze małżeństwa, prowadzącego do założenia rodziny. Do tego potrzebna jest forma sankcji obrzędowej — ceremonii. Ta sankcja, ten stempel, jest to specjalny akt twórczy kultury, stwarzający nowy stosunek między dwiema jednostkami. Sankcja ta wstępuje na miejsce biologicznych instynktów, gwarantujących wychowanie dzieci i zastępuje je szeregami norm i tabu społecznych. Kultura nie usuwa naturalnych tendencji, ale przy pomocy innych elementów odtwarza naturalny model rodziny. („Sex and Repr.“ str. 198 i nast.).

We wszystkich bez wyjątku społeczeństwach prymitywnych lokalna społeczność (community), klan czy plemię, jest zorganizowana przez stopniowe rozszerzanie (extension) więzów rodzinnych. Trwanie tych więzów po dorobnięciu dzieci stanowi model wszelkiej organizacji społecznej i jest warunkiem współpracy we wszystkich sprawach gospodarczych, religijnych czy magicznych. („Sex and Repr.“ str. 229). Tu już nie ma mowy o uplastycznieniu instynktów. Użyteczność i funkcja więzów rodzinnych, trwających całe życie są warunkowane kulturą, a nie potrzebami biologicznymi. W człowieku kultura stwarza nową potrzebę — potrzebę kontynuacji stosunku między rodzicami i dziećmi przez całe życie. Umożliwia to przekaz kultury jednej generacji następnej, i jest punktem wyjścia wszelkiej społecznej organizacji. Ale przez ten akt twórczy kultura stwarza równocześnie dwie destruktywne pokusy — kazirodztwo i bunt — obydwie jako reakcję na tabu gwarantujące trwanie więzów rodzinnych przez całe życie. Bez tych tabu bowiem rodzina rozpadłaby się przez pomieszanie generacji, dezorganizację sentymentów i gwałtowne zmiany ról jej członków, uniemożliwiające wykonanie jej funkcji

edukacyjnej — przekazu tradycji kulturalnej. Tu leży właśnie geneza kompleksu, który Malinowski woli nazwać nuklearnym kompleksem rodzinnym. (tamże str. 230 i nast.). Zresztą słowo „kompleks“ to tylko naukowy „Schlagwort“, gdyż kompleks jest po prostu częścią organicznej całości, której istotne elementy nie są wcale zepchnięte do podświadomości. (s. 170). Dla tego forma kompleksu zależy od typu ekstensji rodziny w organizację społeczną. Rodzina jest bilateralna, ale jej rozszerzenie — klan jest związany zwykle z unilateralnym liczeniem pokrewieństwa: po ojcu czy po matce. (s. 256 i nast.).

HISTORIA I ANTROPOLOGIA STOSOWANA

W naukach historycznych Malinowski wskazuje konieczność zastosowania analizy funkcjonalnej zarówno przy rekonstrukcji faktów historycznych jak i stanu kultury i instytucji społecznych, aby zrozumieć prądy wpływające na bieg historii („A Sc. Th. of C.“ s. 6). Twierdzi on, że „historia powtarza się w tym sensie, że są uniwersalne prawa procesu kulturalnego. Ponieważ prawa te działają niezależnie od czasu, miejsca i okoliczności, można je odcyfrować w jakimkolwiek stadium rozwoju ludzkiego i tutaj na dłuższą metę każdy aspekt i faza badań antropologicznych muszą okazać się użyteczne“. („The Dyn. of Culture Change“ s. 33 i nast.). Dlatego przywiązuje on wielką wagę do stworzonej przez siebie nowej dyscypliny naukowej: antropologii stosowanej.

Antropologia stosowana (applied or practical anthropology) pozostaje w takim stosunku do naukowej teorii kultury jak technologia do matematyki czy fizyki. Malinowski pierwszy raz używa tej nazwy w 1929 roku w rozprawie „Practical Anthropology“. Idea jej jednak budzi się w nim niemal równocześnie z ideą funkcjonalizmu. W 1928 roku mówi on:

„Praktyczną wartością (funkcjonalnej analizy) jest to, że uczy ona stosunkowej ważności różnych zwyczajów, mówi jak się zająbiają między sobą i jak powinny być traktowane (handled) przez misjonarzy, władze kolonialne i tych, którzy muszą w sposób ekonomiczny korzystać z pracy i gospodarki tubylców (savage trade and savage labour“). („Life of Culture“).

W 1934 roku rozwija dalej swą myśl w wykładzie o „Oświacie tubylców i stylu kultur“ (*Native Education and Culture Contact*), wygłoszonym w Capetown. Potem spędza dłuższy czas objeżdżając południową i wschodnią Afrykę, zapoznając się szczególnie z plemio-

nami Babemba, Swazi, Czagga, Masai, Kikuju i Masagoli. Dostarcza mu to obfitego materiału, który częściowo wykorzystuje na różnych konferencjach, a później użyje do napisania podręcznika antropologii stosowanej, który już po jego śmierci przygotowała do druku jego współpracowniczka Phyllis M. Kaberry pod tytułem „The Dynamics of Culture Change“. Omawia tam szczegółowo technikę pracy, kwalifikacje i zakres działania antropologicznych doradców, zagadnienia gospodarki i oświaty tubylczej, konflikty interesów, teorię rządów pośrednich (t.j. za pośrednictwem naczelników plemiennych), szczepowość, (tribalism) i zagadnienie t.zw. „de-tribalised“ t.j. Murzynów, którzy porzucili organizację plemienną, zagadnienia magii i religii tubylczej, znaczenie tradycji wojen międzyplemiennych, wreszcie formułuje obszernie teorię transkultuacji i domaga się tolerancji kulturalnej.

Pierwsi doradcy antropologiczni byli mianowani przez rząd australijski jeszcze przed II wojną światową na terenach Papua i Nowej Gwinei. Dziś doradcy tacy pracują na wielu terenach.

Podstawowym zagadnieniem antropologii stosowanej jest transkultuacja czyli styk i przemiana kultur (culture contact and change), niekiedy nazywana akkultuacją (termin nie pochwalany przez Malinowskiego). Zajmuje się już nią Malinowski w 1928 r. określając ją jako proces dwustronnego oddziaływania, a nie bierną recepcję. Mówił wtedy:

„Cywilizacja to nie choroba..., odporność większości ludzi na kulturę jest notoryczna, kultura nie jest zaraźliwa! ... Dyfuzja nigdy nie ma miejsca, jest to zawsze re-adaptacja, prawdziwie twórczy proces, w którym zewnętrzny wpływ jest przekształtowany (remoulded) przez geniusz rodzimy... Kultura... nie jest ani wynaleziona ani rozprowadzona (diffused), ale narzucona przez naturalne warunki, które kierują człowieka na drogę postępu z nieublaganym determinizmem... Każda nowa rzecz musi być dostosowana do nowego środowiska kulturalnego i asymilowana do cywilizacji recypującej“. („The Life of Culture“ s. 41).

Ostateczna definicja transkultuacji, jaką daje w „The Dynamics of Culture Change“, określa ją jako zjawisko powszechne, a nie specyficznie afrykańskie:

„Zmiana kultury jest to proces, przez który istniejący porządek społeczny, to jest jego społeczna, duchowa i materialna cywilizacja, zostaje przekształcony z jednego typu w dru-

gi. Obejmuje to proces modyfikacji politycznego ustroju społeczeństwa, jego instytucji domowych, rodzajów osiedlenia terytorialnego, wierzeń i systemów wiedzy, edukacji i prawa, jak również narzędzi materialnych i ich użycia, oraz konsumpcji dóbr, na których gospodarka jest oparta. W najszerszym znaczeniu zmiana kultury jest stałym czynnikiem ludzkiej cywilizacji — zachodzi ciągle i wszędzie. Może być powodowana (induced) przez czynniki i siły, powstające spontanicznie w społeczności (ewolucja niezależna), albo przez styk różnych kultur (dyfuzja)... W tym sensie transkultuacja w Afryce niewiele się różni od urbanizacji rolniczych krajów Europy... (i od podobnych procesów zachodzących w krajach najwyższej cywilizacji)“... Niespotykany dotąd w historii postęp techniczny wyprzedza możliwości równoległego postępu duchowego i panowania nad warunkami społecznymi“.

Malinowski pisze bardzo emocjonalnie o błędach t.zw. cywilizowania Afryki:

„Antropolog musi wbijać do głów (drive in) bardzo elementarny, ale przecież chronicznie zapominany (neglected) fakt, że w stosunku do Afrykańczyków, Europejczyk nie ma do czynienia z tabula rasa, której może używać, nie licząc się z istniejącym (tam) ustrojem kultury“ (s. 78). Przypomina, że jeszcze niedawno w Europie uważano za rzecz naturalną niewolnictwo i pańszczyznę, palenie czarownic i wojny religijne. „Studiując tak zwane barbarzyńskie zwyczaje pogan należy podchodzić z tą samą tolerancją i sympatią, które stosujemy studiując zwyczaje naszych przodków i nas samych“ (s. 38). Tym bardziej, że „skutki inwazji europejskiej były często tragiczne dla tubylców: wytępienie całych plemion, przywłaszczenie ojcowizny, okrutne niewolnictwo, a po jego zniesieniu traktowanie Murzynów jak parjasów“ (s. 3 i nast.). „Rząd winien zabronić prześladowań i aktów gwałtu: niszczenia świątyń i relikwii plemiennych — w imię wolności sumienia“. Ten postulat tolerancji religijnej uzupełnia w innym miejscu swego rodzaju „Magna Carta“ afrykańską:

„Wszystkie afrykańskie plemiona i plemionka od pół-nomadów Buszmenów do Bagan-da i Czagga mają prawo do pokoju i bezpieczeństwa, prawo do eksploatacji swych tradycyjnych gruntów czy terytorium dla minimum egzystencji wedle norm, które uważają za konieczność“ (according to standards which for them are indispensable t.zn. stosownie do ich typu gospodarki i trybu życia oraz rodzaju własności ziemi s. 129).

Skąd my, Polacy, znamy ten górny ton? Przypomnę: „Postquam infideles volunt vivere pacifice nulla molestia in personis ac in rebus est eis inferenda“. (Skoro poganie chcą żyć w pokoju, nie wolno wyrządzać im żadnej krzywdy na osobach ani na mieniu)—tak, to przecież nasz Włodowic, Paulus Wladimiri, rektor tego samego Uniwersytetu Krakowskiego, głosił w ten sposób ideę tolerancji religijnej i praw człowieka 500 lat temu!

Malinowski namiętnie proklamuje, że nie może być mowy o skutecznej i pełnej transkultuacji, jak długo istnieje dyskryminacja rasowa i upośledzenie ekonomiczne, które zadają kłam górnym hasłom równości i braterstwa wszystkich ludzi, o których opowiadają misjonarze i uczy się w szkołach.

Nie ogranicza się jednak tylko do stwierdzenia faktów negatywnych. Z analizy sytuacji wyciąga wnioski i zalecenia praktyczne. Europejska kultura implikuje odpowiedni poziom życia gospodarczego i dochody wystarczające na jego utrzymanie. Dla transkultuacji Afryki więc, powiada on, konieczne jest podniesienie ekonomicznego dobrobytu tubylców, co wymaga wielkich wkładów kapitału i dostarczenia nie tylko dóbr konsumpcyjnych ale i środków produkcji tych urządzeń technicznych, które są niezbędne dla europejskiego społeczeństwa.

„The Dynamics of Culture Change“ daje też masę wskazówek praktycznych, jak podchodzić do różnych specjalnych zagadnień. Tak więc np. praktyki magiczne (witchcraft) są to symptomy nędzy ekonomicznej, opresji politycznej i społecznej, lub napiętej sytuacji społecznej. Psychologia kozła ofiarnego (scapegoat) i polowania na czarownice (witch-hunting) występują w formie prześladowań politycznych czy rasowych i w społeczeństwach europejskich z takich samych powodów. Radzi więc sprawy o czary oddawać sądom plemiennym z zaleceniem uwzględniania kontekstu gospodarczego czy emocjonalnego, który doprowadził do szukania ucieczki w czarach. Wojny europejskie i wciąganie do nich wojsk kolorowych dają nam wątpliwą legitymację do chwalenia się likwidacją wojen międzyplemiennych*). Żywią jeszcze tradycję tych ostatnich (od-

*) Opowiadała mi w 1948 r. zakonnica - nauczycielka szkoły misyjnej w Kilemie (Tanganika), przy klasztorze św. Ducha, że podczas drugiej wojny światowej, jeden ze starszych, nawróconych już na katolicyzm Murzynów, zapytał ją: „nas uczycie. by się nie bić między plemionami, a wy w Europie co wyrabiacie“?, i że ta zakonnica nie wiedziała, co mu na to odpowiedzieć. (przyp. J. Hoffmana).

zwierciedloną np. w hierarchii społecznej) radzi sublimować na przedsięwzięcia oświatowe lub gospodarcze, aby zużytkować pewne cechy dodatnie — inicjatywy, zdolności kierowniczych i tężyzny fizycznej, które wojny wyrabiają w niektórych jednostkach. Misjonarzom odradza rugowania kultu przodków, który przecież można stopniowo sublimować na chrześcijański szacunek dla nich. Odradza narzucanie zbyt purytańskich ideałów religijnych, które stawałyby konwertytę poza nawias życia plemiennego i mogłyby pchnąć go na drogę hipokryzji. Zwraca uwagę, że „colour bar” i dyskryminacja rasowa zadają kłam głoszonym przez misjonarzy hasłom braterstwa i równości. (s. 58). Potępia mechaniczne narzucanie systemu prawnego europejskiego, a w szczególności prawa własności ziemi, co często jest pokrywką dla pozabawienia plemion najlepszych gruntów i ojcowizny. Istniejące prawa i zwyczaje winny być formalnie uznane, chyba że wyraźnie obrażają nasze podstawowe kryteria etyczne. Wszelkie konieczne ograniczenie praw musi być połączone z kompensatą. (s. 129). W ogóle strukturze plemiennej należy zapewnić warunki zdrowego rozwoju — w przeciwnym razie wzrost wrogiego nacjonalizmu czy rasizmu doprowadzi do katastrofy. Obowiązkiem antropologa jest interpretować prawdziwie i obiektywnie sytuację tubylca, mówić czego on potrzebuje i gdzie najwięcej cierpi od nacisków Europejczyków, nalegać na poprawę społecznych, a nade wszystko gospodarczych warunków i ostrzegać, że żadna cena nie jest za wysoka by uniknąć katastrofy. Malinowski proroczo wskazał na dwa tereny, gdzie sytuacja była szczególnie napięta: Kenia i Unia Południowo-Afrykańska.

Dyskryminacja rasowa czyni fikcją dobrodziejstwa wykształcenia. Nie wystarczy kształcić Murzynów na uniwersytetach — trzeba im umożliwić potem wykonywanie zawodu i odpowiedni status społeczny.

Analizując styk kultur w Afryce jako oparty na wymianie — „give and take”, Malinowski określa to dawanie (give) jako wysoce selektywne. Daje się szkoły, szpitale, próby ewangelizacji, dość sprzężystą administrację, drogi, koleje, komunikację lotnicze. Ale odmawia się świadomie instrumentu siły fizycznej (broni), instrumentu władzy politycznej (suwerenność, prawo głosu), udziału w bogactwie ekonomicznym (kopalnie złota, miedzi etc.), pełnej równości politycznej, społecznej, a nawet religijnej (segregacja w kościołach). Za to zabrano Murzynom najżyźniejsze ziemie w Pd. Afryce, Basuto, Swazi, Kenia.

Dziś nie zostało południowo afrykańskiemu Bantu dosyć ziemi na minimum egzystencji. Malinowski podkreśla, że to nie zwykłe „gardłowanie za dzikusami” (pro-Native rantig), ale obiektywna naukowa analiza. Jeżeli nie daje się materialnych korzyści kultury: dobrobytu, władzy, niepodległości i równości społecznej, to taki brak równowagi w przekazywanym systemie kultury nie może prowadzić do pełnej transkultury, a przeciwnie budzi reakcję i opory przeciwko recepcji elementów zaofiarowanych, czego dowodem są słabe wyniki misji, gwałtowna obrona obrzezania kobiet i innych barbarzyńskich obyczajów, i wrogi charakter budzącego się nacjonalizmu murzyńskiego w stosunku do Europejczyków.

Najdalej idący program przedstawia Malinowski w swym dziele „Freedom and Civilization”, gdzie też zamiast mających odcień pogardliwy słów „native” czy „savage” używa terminu „preliterate peoples” — ludy przed oświatą, w sensie znajomości czytania i pisania — powiedzmy po polsku „ludy przedpiśmienne”. Powiada tam (s. 335). „Ludom t.zw. przedpiśmiennym należy zapewnić minimum opieki politycznej (tutelage) na zasadach brytyjskich rządów pośrednich („indirect rule”), z wyjątkiem pewnych ograniczonych terenów, posiadających surowce niezbędne dla całej ludzkości*).

Przedpiśmienne ludy winny cieszyć się jeszcze większą autonomią szczebową lub narodową niż obecnie, i wolno im będzie się federować, łączyć lub rozdzielać między sobą. Specjalny komitet złożony przede wszystkim z antropologów mógłby być powołany dla służenia radą i pomocą takim grupom. Traktowanie kolorowych musi się radykalnie zmienić, gdyż plan ten na przyszłość wymaga równości obok wolności“.

Dziś, szesnaście lat po śmierci Malinowskiego, wystarczy spojrzeć na mapę, aby ocenić rozwój sytuacji w koloniach, jako stopniową realizację jego idei, oraz sprawdzanie się jego prognozy tam, gdzie nie usłuchano jego rad: w Kenii i Unii Południowo-Afrykańskiej. Pomoc inwestycyjna jest dziś zagadnieniem konkretnym. Powstały już państwa niepodległe takie jak Ghana czy Sudan, a zagadnienie konstytucyjne terenów takich jak Basutoland są ostatnio przedmiotem rozważań, których poziom i forma dowodzą najlepiej, jaki zrobiono postęp w tej dziedzinie.

*) Ta uwaga odnosi się może do kopalni uranu w Kongo belgijskim. W 1942 roku, gdy Malinowski to pisał, badania atomowe były najściślejszą tajemnicą wojenną.

J. H.

KS. TADEUSZ JUDA KRUSZYŃSKI T.J.

z Brzeziec (Małopolska) urodził się w r. 1615. Do zakonu jezuitów wstąpił w Krakowie. Wysyłany przez kongregację rzymską do Propaganda fide, był przez lat 18 misjonarzem w Konstantynopolu i w Persji. W r. 1720, pracuje w Persji, był sekretarzem i tłumaczem przy Fryderyku Barnabie, biskupie Ispahańskim. Jako naoczny świadek wielkiej rewolucji perskiej w 1722 r., po powrocie do Rzymu, a z namowy kardynała Józefa Sacripanti, napisał po łacinie dzieje tej rewolucji. Opis ten przełożony na różne języki uczynił głośnym imię ks. Kruszyńskiego. Przebywając w Rzymie (po powrocie z Persji) uczył w kolegium Propagandy języków wschodnich przez lat pięć. Z Rzymu wysłano później ks. Kruszyńskiego do Kamieńca, następnie do Jarosławia, a od 1736 do 1739 sprawował częściowo we Lwowie, częściowo w Ostrogu (na Wołyniu) urząd prokuratora tamtejszych kolegiów. W r. 1740 jeździł powtórnice do Persji. Po powrocie z tego kraju, był ojcem duchownym w Brześciu i Kamieńcu, gdzie umarł 22 maja 1756 r.

Dzieła wydane przez ks. Judę Tadeusza Kruszyńskiego:

1. „*Historia revolutionis Monarchiae Persicae Constantinopoli pro M(agni) Vezyrio conscripta et eiusdem iussu typis mandata opera P. Judae Krusinski Missionarij persici*“.

Dzieło to wydane bez podania miejsca druku i roku (około 1729). Drukowane ono jest w języku tureckim. Pisał ks. Kruszyński, jak już wspomniano, dzieło to z namowy kardynała Józ. Sacripantiego w Rzymie po łacinie, następnie sam przełożył na język turecki i za pośrednictwem Franciszka Leopolda Ragocego dzieło to złożył wielkiemu wezyrowi Ibrahimowi Paszy. Już po wyjeździe ks. Kruszyńskiego, z rozkazu Ibrahima dzieło to wydrukowano, a w przedmowie Ibrahim Effendi przekład ten turecki za swój ogłosił, na co się później ks. Kruszyński zalił. Z powodu tej przedmowy w niektórych bibliografiach dzieło to figuruje nie pod nazwiskiem ks. Kruszyńskiego, lecz mylnie pod nazwiskiem Ibrahima jako tłumacza (np. Toderini *Litteratura turchesca*, Brunet *Bibl. i Zencer Bibl. Orientalis*).

2. „*Chronicon peregrinationis seu historia ultima belli Persarum cum Aghwanis*

genti“... Przez *Joh. Christ. Clodiusa*, tłumaczone z tureckiego. Lipsk 1731.

Clodius opuścił ustęp odnoszący się do ks. Kruszyńskiego ukrytego pod nazwą podróźnego (Schjjach), ale za to dodał list łaciński *Mateusza Iliaco* pisany z Saratowa w r. 1730 do *Gleditscha*, w którym Iliaco mówi, że autorem dzieła jest o. TADEUSZ KRUSZYŃSKI, POLAK, JEZUITA i że historia ta była drukowana w Paryżu a później przełożona na język turecki.

3. „*Prodromus ad tragicam vertentis belli persici historiam*“.
Lwów 1734.

4. „*Tragica vertentis belli Persici historia per repetitas clades ab anno 1711 ad annum 1728-vum. continuata . . .*“.
Lwów 1740.

Przekłady tego dzieła: a) francuskie wydano w latach 1728, 1729, 1741 i 1742; b) angielskie w latach 1728 i 1729.

5. „*Relatio de mutationibus Regni Persarum*“.
Rzym 1727.

Z tego zrobiono przekład francuski w r. 1729 i angielski w r. 1823.

6. „*Annalecta ad tragicam belli Persici historiam*“.
Lwów 1755.

7. Relacje ks. Kruszyńskiego ogłosił w języku niemieckim w piśmie „*Neuer Welt-Bott*“ w r. 1732 KS. JEZUITA JÓZEF STOECKLEIN. W przedmowie ks. J. Stoecklein powiada, że „*Der Teutsche Welt - Bott*“ otrzymał (tę relację ks. Kruszyńskiego) poprzez Konstantynopol i Wiedeń cały egzemplarz łaciński, który uzupełnił Durri Effendi. Ta sama relacja została przetłumaczona w Konstantynopolu przez M. de Tiennes w r. 1745 na język francuski, a wydrukowana w Paryżu w r. 1810.

8. *Pragmatographia de legitimo usu Ambrozyi Tureckiey: To iest opisanie sposobu nalezytego zażywania Kawy Tureckey przez X. Thadeusza Kruszyńskiego S. J. Missionarza Perskiego. Rzecz z rękopisu jego wybrana i do druku podana*“.
Warszawa 1769.

* * *

Jak widzimy z wykazu dzieł i przekładów, wkład polskiego jezuitę ks. Tadeusza Judy Kruszyńskiego w znajomość wypadków perskich, a tym samym jego wkład do kultury świata był niemały.

JADWIGA MROZOWSKA - TOEPLITZ

RÓŻNE DROGI PROWADZĄ DO OSZAŁAMIAJĄCYCH WYCZYŃÓW

(Ciąg dalszy)

... Przepraszam! Jak to Pan powiedział? Że ludzie, mniej więcej „młodzi“ nic nie wiedzą o Jadwidze Mrozowskiej? Panie Redaktorze! Nie mogę w to uwierzyć! I nie wiem dobrze co zrobić, czy się obrazić i zamilknąć, czy też wspaniałomyślnie wybaczyć tej młodzieży ignorancję tak sławnej polskiej postaci ijechać dalej..

Wybiorę chyba to drugie rozwiązanie kwestii, bo im się więcej starzeje moje „fisco“, tym potężniej buntuje się przeciw zgrzybiałości moje „morale“ i równocześnie wzrasta zainteresowanie tą generacją, która w sercu obcych krain, obcych narodów, języków i wyznań, potrafi stworzyć sobie własne, niezależne życie, utrzymać duchową łączność z daleką Ojczyzną, utrzymać wiarę w Boga i, mimo wszystko, w pogodne jutro. Niech więc żyje ta polska Młodzież, która po wielu zawodach, żrącej biedzie, i niepokojących wątpliwości, stanie jeżem do przeciwników i, ma foi! dojdzie do domowych pieleszy!

Niech więc już zgoda zakwitnie pomiędzy nami, a na dowód mojej dobrej woli, opowiem, coś nie coś, „Młodym“ o tej artystce, która uprzykrzywszy sobie Europę i jej plotkarstwo, przeniosła swoją sferę działania na inne kontynenty, a krocząc wytrwale po afrykańskich pustyniach i azjatyckich dżunglach, borach, skałach, przełęczach, doszła z niemałym trudem, aż na tybetańskie wyższe i pamińskie moreny.

* * *

Po sześciu latach pracy niemal niewolniczej na scenach lwowskiej, krakowskiej i warszawskiej, oraz krótkotrwałych, ale wielce ciekawych wypadach do europejskich zaułków, wyjeżdżam do Paryża, trzecią klasą, bo nie było czwartej, i tam, nie mówiąc nikomu kim jestem, uczę się, projektując występy na scenach francuskich. Często o godzinie drugiej, lub trzeciej w nocy, widać było przy ulicy Lesueur światółko tłące się w stancjce na poddaszu. Nie oświetlało ono miłosnych zapasów, ale książkę, która przez całe życie była mi i jest, wierną przyjaciółką.

Po 18 miesiącach wysiłków i studenckiej diety, zdając sobie sprawę, że należy wyrzec

się wróbla na dachu dla rubla w garści, wracam do Kraju i angażuję się do teatru Rozmaitości w Warszawie.

Po roku jednak, goniąc resztkami sił, przerwam występy i udaję się do Rzymu, gdzie zaczynam brać lekcje śpiewu, nie dla robienia kariery operowej, ale dla wzmocnienia płuc mocno zagrożonych. Tego śpiewania uczyłam się przeszło rok i nie powiem, żeby ten czas był dla mnie stracony, bo jednak doszłam do tego, że złapałam trzy scrittury i śpiewałam w Fauście Małgorzatę, w Cyganerii Mimi i w Pajacach Nedde, nawet z Battistinim we Florencji. Ale mój „common sense“ zaczął mię uporczywie przekonywać, że pomimo niezłych sukcesów operowych, odniesionych głównie (O ironio!) dzięki mojej sztuce dramatycznej, na której Włosi się rozumieją, to jednak pierwszorzędną śpiewaczką nie będę nigdy, bo głos za słaby na salę Scali, którą trzeba zdobyć, jeśli się ma zamiar podbić świat swoim śpiewem i że głupio jest dla mierzalnej zagranicznej kariery, poświęcić we własnym kraju sztukę, do której jest się stworzonym.

(Piszę jak nakręcona maszyna, bo w rękę mam pióro, a w głowie spiżarnię, dziurę w pończosze, niewywietrzony materac i tym podobne delicje, składające się na szumny tytuł „Pani domu“, to znaczy pierwszej służki ludzi, psów i dziewczyn do wystykiego“).

Czując się dobrze podreperowaną na zdrowiu, powiększona w objętości klatki piersiowej i okolicznościach, zaczynam przeskakiwać Alpy i zjeżdżać do polskich stolic na gościnne występy. W tych czasach, a było to chyba w latach Pańskich tysiąc dziewięćset jedenastych, grałam moją sławną Conchitę w „Kobiecie i Pajacu“, która, co tu udawać skromność, porwała tłumy i pozostawiła po sobie smugę światła na horyzoncie teatralnym w Polsce, ale ściągnęła też na mnie pioruny czarnej arystokracji krakowskiej.

Do stworzenia tej roli dopomógł mi dłuższy pobyt w Hiszpanii, gdzie nauczyłam się, za prosty, dzięki czynnemu pocałunek, hoty, habanery, seguidillas i innych, od ulicznej sewilskiej gitany, która silną dłonią i niewybrednym słownikiem wprowadziła na właściwe tory moje fikające uzdolnienia.

Ta doświadczona Hiszpanka odkryła mi też sztukę przywabiania pogardą, przykuwania obietnicą, odstraszenia prózną stratą czasu przedstawicieli rodzaju męskiego, którzy (o dziwo!) tak często zmieniają go na rodzaj ni-jaki.

Na południu Hiszpanii usilnie przepatrywałam gibraltarskie skały, w nadziei ujrzenia choćby ogona bertucci, podobno jedynej(?) małpy europejskiej... Ale niestety, wysiłki za-wiodły.

Moje gościnne występy wypełniały szczer-nie po brzegi sale teatralne, ale musiały się kończyć z początkiem okresu słońc jesiennych. Z początkiem pierwszej wojny światowej u-miera mój pierwszy mąż Leoncjusz Wybra-nowski.

Mnie, wypowiedzenie austriacko-serbskiej wojny, złapało na fiordach norweskich. Zdo-łałam jednak przedrzeć się przez zbulwerso-waną(?) Europę, po której jak bałwany po morzu przewalały się ludzkie fale spienione nienawiścią, niosące przerażenie, śmierć i za-gładę. Z wiosną 1915-go roku, pomimo rozpę-tanej burzy wojennej, stać mię na powzięcie decyzji powrotu do Kraju i, z austriackim paszportem w kieszeni, przebijam się do Kra-kowa, gdzie pracuję w klinice prof. Roznera, jako pielęgniarka Czerwonego Krzyża. Jest o tym bardzo miła wzmianka, w którymś z roz-licznych tomów Boy'a. Wynajmowałam wów-czas pokoić u jakiejś bardzo spokojnie wyglą-dającej Pani, u której, jak się później dowie-działam, mieszkał i „wąsaty Strzelec“, Do-wódca gołowąsych strzelców. Alem Go nigdy przydybać nawet na schodach nie mogła. Póź-ną jesienią wracam chora do Włoch, ściągając do Mediolanu i moich Rodziców, gdyż dwór w naszej wsi w Kieleckim, stojący niedaleko od szosy, został doszczętnie zniszczony. W at-mosferze wojennej przeżywam w silnym na-prężeniu i oczekiwaniu lata wojny, ucząc się i robiąc to, co dozwolonym było robić we Wło-szech austriackiej obywatelce, to jest, nic. Przywykła do wolności, ciesząc się od dziecka swobodą ruchów, tak silnie odczułam w ostat-tatnim roku wojny zamknięcie w granicach jednego państwa, że zdrowie moje zostało znów mocno zagrożone. Ale paż przeznacze-nia, wyznacza mi na drugiego męża, niejakie-go Józefa Toeplitza, genialnego polsko-włos-kiego finansistę i życie moje przybiera od-mienną formę.

Wychodzę za mąż w 1918-stym roku, mając lat 38 i po unormowaniu się powojennych sto-sunków, otwieram w Mediolanie Salon artys-tów, w którym ani się tańczyło, ani w karty grało, ani plotkowało, tylko się słuchało do-

skonałej muzyki, śpiewu pierwszorzędných słowików włoskich i zagranicznych, oraz inte-resującej konferencji moich przyjaciół, któ-rzy zapominając w tym tak bardzo różniącym się od uniwersyteckich sal otoczeniu, trakto-wali z niebywałą werwą tematy, zbierając oklaski, jak primadonny Scali. Moja działa-ność ograniczała się do przedstawiania po-ważnych profesorów i wzbudzania tymi wy-stępami wybuchów śmiechu u moich gości.

Przyjęcia robione były na dużą skalę i na setki osób, bo dom był, że tak powiem, po-jemny. Towarzystwo urozmaicone, ściągane do mojego Salonu stanowiskiem Józefa Toe-plitza, nadzieją spotkania w nim ludzi świa-ta wysokich międzynarodowych finansistów i artystycznego Olimpu, a troszeczkę też — wybaczenie mi zarozumiałość — i szampańs i Panią domu. Mnie bardzo zależało też i na tym, ażeby skromny urzędnik z Banca Com-merciale Italiana znalazł wreszcie teren, na którym mógł by się spotkać i pomówić z naj-wyższym kierownikiem tego potężnego Insty-tutu. I osiągnęłam ten cel.

Mąż mój, z natury optymista, w domu był zawsze w dobrym humorze; słyszałam jak za-pewniał przyjaciół: „No cóż! Na „niedziele“ mojej żony, łatwiej się dostać nauczycielce fortepianu, niż księżnej pani“. I to było praw-dą. Nigdy bowiem snobizm nie położył na mnie swej lepkiej łapy, ani mię oblażył trąd obojętności, za co, dzięki Ci Boże!

* * *

W tych latach przewertowałam już wzdłuż i wszerz całą Europę. Phi!... Taki kontynencik przyczepiony do Azji jak niemowlę do matki! Nie miałam już tu więcej nic do roboty. Ale za to, niepostrzeżona frędzlami półwyspów, ani żadnych zbytecznych doczepek, kusi mię swą poważną, jednolitą masą, AFRYKA. Czarny kontynent zazdrośnie kryjący w swym piaszczystym łonie nieprzebrane skarby, na których straży stoi Śmierć. Ale cóż mnie bo-gactwa obchodzą, smutek z nimi w parze cho-dzi. Byle by mieć dach, czy płótno namiotu nad głową, chleb w rękę, ryż na misce i zdro-wie! Zdrowie, za którym gonię od 20 lat, to wszystko inne furda! Znam to wszystko „in-ne“. I przyjęcia i sukcesy i paryskie toalety, furda powiadam! Może być, że trzeba to wszystko raz mieć w rękę, ażeby zrozumieć jak mało warte.

Jedno tylko co z upragnionym zdrowiem mierzyć się może, to miłość. Miłość w swych niezliczonych formach i nasileniach. Miłość, którą ukochałam, dając jej pierwszeństwo w moim życiu. Gdyby mi odebrano dar miłowa-

nia, ostałabym się jak ten wypalony żużel, wyrzucony na śmietnik.

* * *

Przejechałam kilkakrotnie to rozległe jezioro nazwane Morzem Śródziemnym, lądując na afrykańskich wybrzeżach, zatrzymując się po drodze na jego rozrzuconych w nieładzie wyspach, o chaotycznej przynależności do warczących na siebie sąsiadów. Wgryzłam się w Egipt i Saharę wysilając mój zmysł obserwacyjny na zrozumienie prastarych rzeźb egipskich, minaretów wystrzelających w niebiosy ku udreć naszym wież kościelnych, koni galopujących po złotych piachach i kobiet... policzkowanych przez rozdrażnionych kochanków, których w oazie, zapalona świeca postawiona przed wejściem do namiotu lub palmowego szałas, zatrzymuje na progu, wzbraniając zazdrośnie wstępowania w łono upragnionej hurysy, gaszącej tuż tuż w ciemnym wnętrzu płomień innego syna pustyni.

Zamieszkałe kraje północnej Afryki, pouczyły mnie o sposobach rządzenia i o charakterze Europejczyków rządzących odmienną rasą. Ale ani tu miejsce, ani moja przezorność, pozwalają mi się rozwódzić nad, silniej od podzwrotnikowego słońca, piekącymi sprawami, bo przecież sama należę do tych Białych.

Wyrwij się Jadwiga z tej śródziemnomorskiej sadzawki, zatrutej wyziewami trzech kontynentów, bo zaczyna cię denerwować jej zarozumiałość! Wyrwij się na szerokie wody, na dalekie lądy, a zapomnisz o tej Europie, do której kołaczę zagłada!

Ale jakoś nie nadarzała się sposobność; to jedno coś, to drugie owoś, zatrzymywało mnie we Włoszech, podnosząc bariery niespodziewanych przeszkód...

Zdanie mojego Męża w sprawie moich bliźszych lub dalszych wyjazdów, było doprawdy niebylewale rozsądne:

„Przestałaś grać wielką rolę na scenie, zagrajże ją i w życiu! Salon nie może ci wystarczyć, a ja jestem w stanie finansować twoje szlachetne ambicje“.

Ale, kochany Józiu, to nie była ambicja, a instynktowny poryw człowieka dążącego do swobody prymitywnego życia.

THE CALL OF THE WILD

Bezwietrzna, ciemna noc, rozedrgana promieniami mrugających gwiazd.

Stałam w oknie zapatrzona w ogród, przeżuwając sprawę IMAGINACJI.

Wielka cisza budzi we mnie nieokreśloną tęsknotę.

A oto z dala, z bardzo daleka dochodzi do

mojej świadomości potężny ZEW, wzywając do poznania tego świata, który roi się od ludów wyczerpanych prastarą kulturą dominującą nieokiełznaną bujnością natury, wzrusza ciężarem kajdan nałożonych w zamierzonych czasach niewolnikom wierzeń i zabobonów, ńęci fantasmagorią życia indyjskich nababów i przeraża krańcową nędzą mieszkańców puszczy, obumarłych moren, bezwodnych pustyni, kamiennych wyżyn...

Mus mnie woła!

Azjo!!!

Ide!

.... I poszłam.

* * *

Moja pierwsza podróż do Indii rozpoczęła się w Wenecji, wymarzonego tła spoczynku dla bogatych kochanków, urzeczonych kamiennymi dziwami architektury, kolorem i kształtem tyćjanowskich rozłożystych niewiast, oraz kuszącym spojrzeniem rudowłosych i ciemnookich piekielnic, które szczelnie otulone w czarne szale podpierają mosty na Canal Grande i językiem, ostrym jak brzytwa, rzucają w twarz przyjemnie uśmiechniętemu cudzoziemcowi, niezrozumiałe wymysły i niemożliwe do zastosowania propozycje.

Ja tutaj już raz byłam, ale bez kochanka i tak mię pogryzły komary, że powróciwszy do Warszawy, nie mogłam się przez parę dni pokazać na scenie.

Wparte w element wody jest to cudne miasto bez ziemi, w którym za żadne skarby świata nie zgodziłabym się mieszkać.

Latem, cała piaszczysta plaża wysepki Lido zatłoczona jest gołymi nogami, a nogi te migają i w samym centrum Wenecji, na jej mostach i mostkach, na wiecznie wilgotnych kamiennych schodach, prowadzących do pałaców pięknych, jak sen o pałacach, i wyciągają się lubieżnie na czarnych aksamitach gondoli, ku wyraźnemu podniesieniu ducha spracowanych gondolierów.

Szum tam panuje nieustanny, pokrywany srebrzystym staccatem śmiechu i czułych nawoływan, a że Venus dla pocieszenia rodzaju ludzkiego wychynęła się z morskiej piany i dotknęła nóżką Piazzette, to i atmosfera Wenecji tak przesiąknięta pragnieniem życia i jego radości, że rozbudza u młodych i starych, pięknych i koślawych, brzuchatych i wysmukłych okazach dwunogiej fauny, miłosne popędy.

Eviva la vita! Krzyczy rozpedzone po plaży stado, szukając orzeźwienia wyczerpanego organizmu w morskich falach.

W zimie zaś Wenecja przedstawia się jak zgwałcona i opuszczona dziewica.

Gwałcą ją te gromady turystów, gapiących się na Bazylikę Św. Marka, którego sławne konie tylko czekają, aby im popuścić wodze, by mogły skoczyć gościom na głowy i potrawić tych ludzi północy lub Mittel Europy, którzy w krótkich sportowych spodniach i grubych, na gumowej podeszwie butach, depcą cudowne podłogi Pałacu Dożów i mozaiki Bazyliki. Więc Wenecja po tych letnich najazdach oplakuje zimą te swoje klejnoty, w które stroją się do amatorskich zdjęć ludy wszystkich nacji i kontynentów. I kapie łzami dżdżu i kryje się wstydliwie we mgle i jest tak smutna, tak smutna, że jedynie urodzony Wenecjanin może w niej wytrzymać, bo on nie patrzy na zamglone dzieła sztuki, ani się nie wzrusza widokiem drzemiącego Canal Grande, ani go niepokoją cuchnące wyziewy drugorzędnych kanałów. On, z kapeluszem nasuniętym na oczy i z kołnierzem podniesionym do nosa, zmierza tylko do swej kawiarenki, swoją gazetę studiuje i, wraz z przyjaciółmi kiwa z ubolewaniem głową nad marnościami tego rozhukanego świata, radując się w duchu swoim zakątkiem, gdzie jeszcze hałasów nie słychać i gdzie nikt się nie spieszy. Nie miejsce na tych paru stroniczkach opisywanie tego salonu wiata, jakim jest Plac Św. Marka, ani cudów sztuki przekazywanej z wieku w wiek przez wielkich Dożów, lub tworzonych dłutem, pędzlem, czy też cyrklem natchnionych artystów, dla chwały „della Serenissima“.

Historia Wenecji jest tak bogata i nieprzewidziana we wroście i upadku swej potęgi, że studiując ją dostaje się zawrotu głowy, jak przy pilnej obserwacji fresku „Trionfo di Venecja“ Pawła Veronesa, zdobiącego w Pałacu Dożów sufit sali „del Gran Consiglio“.

Pozwolę sobie tylko wspomnieć o sławnych czterech koniach rzymskiej triumfalnej kwadrygi, którą w czasach czwartej wyprawy krzyżowej (1204) przesłał z zajętego przez Wenecjan Konstantynopola, sławny Doża, Henryk Dandolo, osobiście dowodzący wenecką flotą.

Konie te grecko-aleksandryjskiej szkoły, przebiegły różne dalekie morskie i ziemskie drogi, ulokowały się wreszcie na honorowym miejscu w środkowym łuku fasady Bazyliki Św. Marka i do dzisiejszego dnia widzieć je tam można, gotowe do skoku w swej pozieleńszej miedzianej szacie, z której czas starł niemal całkiem ślady pozłoty. Jak w każdej tajemnicy, tak i w nich jest coś niezmiernie niepokojącego, gdyż właściwie nie wiadomo skąd się wzięły w Konstantynopolu. Czy przysgalały aż z wysepki Chio, czy też z

Grecji zawitały wprost do Rzymu, gdzie ponoć wyskoczywszy na łuk triumfalny Nerona i Trajana, zatrzymały się chwileczkę i na „Castel Sant' Angelo“. Powróciwszy już nieco zdenerwowane do Stambułu, przystanęły na wieży hipodromu, gdzie uspokoił je widok Bosforu i Złotego Rogu. Stamtąd to Dandolo przeniósł je ostatecznie do Wenecji. Ale i tutaj nie był jeszcze koniec ich wędrówek...

I dzisiaj tylko one znają prawdziwą historię swej zamierzchłej przeszłości. Mieszkańcy Laguny lubią opowiadać cudzoziemcom nieprawdopodobne wprost historie o właściwościach tych koni złączonych, dziwnym zbiegiem okoliczności wypadkami historycznymi. Mówią oni, nie trzymając się niewolniczo chronologii, iż ilekroć razy konie te dotknęły kopytami ziemi, tylekroć razy upada jakieś Imperium! I tak: po zdjęciu ich z hipodromu konstantynopolitańskiego, upada Bizancjum; ściągnięte przez Francuzów z Bazyliki Św. Marka, poprzedzają zmierzch Napoleona; poruszone w czasie I-szej wojny światowej, prowadzą do ruiny trzy imperia; wreszcie z chwilą przystąpienia Włoch do drugiej wojny światowej, nieogłędnie zdetronizowane, znaczą koniec królestwa Włoch i bezsensownego imperium dynastii Savoia w Abisynii.

Wszystko zbiegi okoliczności, rozumiem, ale niech Bóg zachowa nas przed nowymi wypadkami w świat czterech koni triumfalnej kwadrygi!

* * *

Przejażdżka po Adriatyku i Morzu Śródziemnym była miła: pogoda słoneczna, temperatura marcową, ale z chwilą kiedy wielki brązowy Lesseps, stojący na straży swojego dzieła, zaprosił szerokim gestem nasz okręt do opłacenia grubego myta, ofiarując w zamian wolny przejazd przez tę kiszkę nazwaną Kanałem Sueskim, wszystko wokół nas zaczęło się zmieniać: gorąco wzmaga się z każdym dniem, para chwilami wprost tamuje oddech, wilgoć taka, że rankiem pomosty przed myciem, są jakby już zlane wodą, a zdenerwowanie dochodzi do niebezpiecznego punktu obnażania własnej duszy, z wykazaniem towarzyszom podróży najnieprzyjemniejszych cech charakteru.

W końcowej części tego płonącego morza, na wysokości włoskiej kolonii Erytrei, zawijamy do portu Massaua, gdzie upał dochodzi do paroksyzmu. Leżę na pokładzie nie zwracając uwagi na zaopatrywanie statku w węgiel i wodę, tylko się pocę i to tak dokumentnie, że przez te 24 godziny wypląnęły ze mnie

wszystkie zjadliwości pokrzywki, która przez cały ostatni rok wojny mnie mordowała.

Wyrwani wreszcie z łaźni Morza Czerwonego, przeciskając się przez cieśninę Bab-el-mandeb, utykamy w Adenie, gdzie z pokładu okrętu idzie doskonała zabawa rzucania mięsnych ochłapów rekinom, uwijającym się w porcie, o wcale zgrabnym i niewinnym wyglądzie. Małe Adeńczyki wskakują bez zastanowienia do wody i podpływając do okrętu wołają o „bakszysz“, a gdy rekin ich atakuje, to zanim zdola się przewrócić w wodzie do góry brzuchem dla chwytania jakiegoś odnóża, wałą go pięściami w nos wrzeszcząc przy tym w niebogłoty i rekin przerażony zmyka. Z tej obserwacji wynika, że jest zapewne i na każdego innego rekina sposób, tylko go trzeba znaleźć. Gdy zesłałam na ląd w tej bezwodnej siedzibie garści mieszkańców kolorowych i garsteczki białych, z wielką dumą pokazywano mi na dużym placu małej skwerek, na którym cztery krzaki jakiejś podzwrotnikowej rośliny, utrzymywała przy życiu woda, specjalnie beczułkami co dziennie przynoszona z daleka, na wielbłądzim garbie. Najbliższe i najdalsze otoczenie Adenu, mocno przez Anglików ufortyfikowanego, jest złą skalistą pustynią, którą nawet antylopy omijają.

Nareszcie kotwica jedzie w górę i powoli wypływamy na ocean. Ocean Indyjski o długiej, leniwej fali i głębokim oddechu. Ocean ożywiony igraszkami delfinów, zdumiewający stadami skrzydlatych rybek, polatujących nisko nad wodą i odbijający w spokojnej tafli granatowej wody sznury ciągnących na północ żurawi, a nocami rozświetlony masami fosforyzujących mikroskopijnych żyłatek.

Podróźni, zwłaszcza Anglicy, starannie unikający dotąd zetknięcia się z „continentals“, zaczynają się zbliżać do tej niższej kategorii rodzaju ludzkiego, znajdując, od czasu do czasu, należytą odprawę. Oto przykład: przed ballem zorganizowanym przez komendanta okrętu, jeden z przystojnych Anglików osiadłych w Bombaju, z którym ni stąd, ni zowąd nawiązał się leciuchny flircik, życzliwie uprzedza, ażeby, jeśli się ośmieli prosić mię do tańca jeden z młodych Hindusów (student Uniwersytetu angielskiego), odpowiedziała, że jestem już zaangażowana do wszystkich wyskoków.

No nie! Chłopiec ten należy do wysokiej kasty i jego szlachectwo wynosi się tysiącami lat ponad noblesę „Drugiego Baroneta“ Anglii, a przy tym jest synem bogatego Hindusa, dobrze notowanego w świecie handlu i przemysłu, to też nie zasługuje sobie na podobną

impertynencję, zwłaszcza, że ten „Drugi Baronet“, zanim mu zawróciłam głowę, obracał się jedynie w lekceważącej międzynarodowych pasażerów, grupie brytyjskiej.

A zatem ustroiwszy się w paryską szatę w greckim stylu, wyfiokowałam odpowiednio fryzurę i woniejąca francuską perfumą, ukazałam się na sali balowej. Efekt piorunujący! Otwieram bal w ramionach rozpromienionego komendanta, który często już zwracał moją uwagę na budzący się w nim sentyment do cór słowiańskiej rasy. Po tym pierwszym honorowym tańcu, kołując z wielką dystynkcją z moim Baronetem, ale ponieważ ten walc trwał długo, wycofuję się na pokład i oparta o burtę, wypoczywam. Nagle z cieniów pokładu zbliża się do mnie „a coloured man“... Spoglądam... Hindus, ten właśnie, o którego zatroszczył się Baronet. Mimowoli po księżycowym promieniu przebiegł do niego mój uśmiech i tak go ośmielił, że przyspieszając kroku staje przede mną i pyta nieśmiało.

— May I have...

— Oh yes! You may...

Wsuwam mu rękę pod ramię i po wejściu na salę puszczamy się w płaszy ku zdumieniu Europejszyków i oburzeniu wyspiarzy. Hindus tańczy doskonale i trzymając mię w silnym dystansowym objęciu, utrzymuje styl „of a born gentleman“. Ja nie rzucam ani wyzywających spojrzeń, ani ironicznych uśmiechów, ot tańczę z radością, bo niezmiernie lubię taniec. W rogu sali kilku młodych Hindusów przygląda się nam obojętnie, jakby to był zupełnie naturalny widok.

Wyjeżdżając z Indii znalazłam w kabinie kosz owoców, a w brzuchu okrętu wspaniałe meble hinduskiej faktury, które dzisiaj zdobiją Muzeum Warszawy. Był to podarunek ojca młodego studenta.

* * *

Stawiając pierwsze kroki na molo portu Bombaju, poczułam się niemowlęciem, rzuconym na rozdroże nieznanego świata. Wokół robotnicy portowi o latających tęczęwkach, siłą wstrzymywanych w oku przez białe - błękitne białka, o historycznych gestach, podnieceni do szybszego tempa pracy końcem spiczastego europejskiego buta, skutecznie wycelowanego w kościsty zadek chudego pariasa.

Natychmiast po wylądowaniu, narzucono mi na szyję misternie plecione z kwiatów naszyjniki, oraz przedstawiono przeznaczony do moich posług boy'a, tak doskonale wyćwiczonego w tym zawodzie przez angielskich podróżników, że jak się kichnie, to boy, który

zawsze słyszy wszelkiego rodzaju głosy wy-
pnięte z osoby swojego „Saheba“, leci ku
niemu na złamanie karku z chustką do nosa
w czarnej łapie.

Ponieważ w Indiach jest nie do pomysle-
nia, ażeby przedstawiciel białej rasy mógł się
zająć jakąś ręczną pracą, lub wmieszać w tłum
ludzi o odmiennym kolorze skóry, Anglicy
mieszkający w malowniczych „bungalow“
muszą trzymać nędznie opłacanych sześciu,
ośmiu, lub więcej boy'ów do obsłużenia
dwóch osób, a to dlatego, że niezmiernie
skomplikowany podział ludności na kasty,
dokładnie wyznacza każdemu osobnikowi ro-
dzaj pracy w ściśle ograniczonych religijnych
i obyczajowych ramach. I tak: jeden boy go-
tuje, drugi zamiata, trzeci piastuje parasol
„Saheb'a“*), czwarty zapala lampy, piąty
wynosi urny, szósty wyszukuje psu „Sa-
heb'a“ pchły, i kleszcze, siódmy ustawia szez-
lągi na werendzie, ósmy robi herbatę, dzie-
wiąty ją podaje, i nareszcie dziesiąty patrzy
na to, co się wokół niego dzieje.

Co zaś się tyczy prania bielizny, to żaden z
wyżej wymienionych osobników, jej nie dot-
knie. Od tego jest „Dhobie“, który pierze ją
najczęściej w bieżącej wodzie na płaskich ka-
mieniacz. Pranie to odbywa się w sposób ge-
nialnie uproszczony: „Dhobie“ porywa w obie
zylaste ręce koszule, czy też prześcieradło i
wali nimi o kamień, dokąd nie wydają mu się
być oczyszczone z europejskich nieczystości.
W rozmachu z jakim pracuje „Dhobie“, czuć
jego instynktowną nienawiść do białej rasy,
do kast wynoszących się ponad jego przeklęty
zawód, do tych antenatów, których przewiny
doprowadziły go do takiego poniżenia! (Choć
i tak dobrze, że nie odrodził się wszą lub
szczurem!). Biedny „Dhobie“! Do wyładowa-
nia swych sentymentów, pozostaje mu jedy-
nie ta czyjaś koszula, czy pantalon... Jakże
więc można się dziwić, że na nich skupia swą
zemstę, próbując co w pierw się rozpękanie:
kamień, czy prześcieradło?

Na pół godziny przed zachodem słońca za-
prowadzono mnie do bardzo eleganckiego klu-
bu i postawiono przede mną na ogromnym
stoliku szklankę z „Whisky and soda“.

— Ależ ja nigdy nie piję „whisky“!

— To się okaże za chwilę.

Wzruszyłam ramionami, ale czując się bar-
dzo zmęczona popołudniowym upałem milczę,
patrzając na ocean przybierający purpurowo-
fioletowe tonacje kolorów... Nagle towarzyszy
mój trąca mię w łokieć:

Patrzeć uważnie w słońce, za chwilę ujrzy-
my zielony promień.

Nasza gwiazda morza zapada się w ton co-
raz głębiej... Co to? Czy ziemia przyspiesza
swoją obrót? Już tylko jedna czwarta słońca
pali się na linii horyzontu, już tylko rąbek
widny na powierzchni wód, coraz mniejszy,
coraz mniejszy, coraz cieńszy i nagle... Widzę
go! Jak zielona strzała przebiega ten promień
spokojną powierzchnię Oceanu i gaśnie u
moich stóp.

Ciemno... Czy w moich oczach? Nie! Ciem-
no wszędzie. Nad całym Bombajem rozblis-
kują światła i zimno nagle, przejmujące zim-
no... Drżącą ręką chwytam za szklankę i wy-
chylam do dna moje „whisky“.

Każdy klub angielski w Indiach, czy gdzie-
kolwiekby indziej, jest wyłącznie klubem
ludzi należących do rasy białej. Nawet „Vice-
Roy“ Indii, nie ma prawa zaprosić doń na fi-
liżankę herbaty najpotężniejszego z Maha-
radzów. To wykluczanie przez Anglików lu-
dzi odmiennej rasy, równa się dzisiejszym
walkom amerykańsko-murzyńskim, z tą jed-
nak różnicą, że Murzyni od czasów praojca
Chama, byli zawsze czarnoskórzy, Hindusi
zaś, w czasie wędrówek narodów przywędrowa-
wali do Indii gdzieś z zachodniej północy, a
tam się krzewiła rasa biała.

Nie mnie sądzić czy ta ochronna żelazna
kurtyna zapuszczona przez Anglików jest
zbędną, czy też konieczną. Osobiście jestem
przeciwna każdemu zamachowi zwróconemu
przeciw wolności i rozwojowi ludzkiej inteli-
gencji, przy czym doprawdy trudno mi jest
pojąć dlaczego wprowadza się do życia po-
dobne komplikacje i komu one przynoszą ko-
rzyść? Pewnym jest, że ten rozdział dwóch
ras wytworzył w masie Hindusów kompleks
niższości i uniemożliwia zawieranie miesza-
nych małżeństw.

Walka prowadzona z obu stron o utrzyma-
nie czystości rasy, jest słuszną, gdyż mulaci,
zwłaszcza mężczyźni, są przeważnie nieuda-
nymi egzemplarzami. Ciekawiej przedstawia-
ją się mulatki, zazwyczaj doskonałe tancerki,
o kształtach pobudzających do miłosnych eks-
perymentów i kuszącym wyrazie rozchylo-
nych warg. Mieszane małżeństwa kombinują
się przeważnie w Europie. Białe dziewczęta
zbliżywszy się na uniwersyteckich ławach do
hinduskich kolegów, zaprzepaszczają swe błę-
kitne spojrzenie w czarnych diamentach ich
oczu, a godząc się na zawarcie małżeństwa w
Europie, emigrują do wyidealizowanych In-
dii, nie zdając sobie sprawy jak straszliwe
czeka je tam rozczarowanie.

*) „Saheb“ wymawia się „Saab“ (Pan) „Mem-
saheb“ „Memsaab“ (Pani).

Tak jak my słusznie jesteśmy dumni z naszych wynalazków technicznych i chemicznych oraz matematyczno-astronomicznych wyliczeń, i wynosimy się ponad Hindusów, sięgając po laury wieńczące mitologiczne bóstwa, tak i oni rządząc się do dnia dzisiejszego przedwiecznymi prawami, uważają nasze zdobycze za nienaturalny wyskok inteligencji niższej rasy. Jak powonienie Europejczyka drażni odór ciała Hindusa, tak nasze — zaciąga mu w nosie trupim śwędem.

Jak my nie możemy uczcić mianem świętej, naszej pocziwej żywicielki krowy, tak i oni nie mogą skłonić głowy przed symbolem naszej wiary, jakkolwiek wszystko, co ma do czynienia z kultem religijnym każdego wyznania, jest przez nich szanowane. To też europejska kobieta - żona, nie znajduje w domu męża - Hindusa rodziny, nie czuje ani opieki, ani afektu, jest osamotniona, bo Europejczycy nie chcą jej znać, a Hindusi traktują tego intruza z pogardliwą tolerancją. Nie rozumie nic z tego, co się na około niej dzieje, a zmuszona dniami i nocą gasić pragnienia niezmiernie pobudliwego mężczyzny, w klimacie przeciw któremu protestuje jej północna natura, przekwita w szalonym tempie i jeśli nie urodzi syna, niech się pożegna z zajęciem jakiegokolwiek stanowiska przy boku zawiedzionego małżonka.

* * *

Mój boy był najlepszym służącym jakiego miałam w życiu. Stwierdzam, po wielu próbach umyślnie przede mną robionych, iż odgadywał moje życzenia na odległość, pozostawiając nierozstrzygnięte zapytanie czy to mój myślowy aparat nadawczy sprawiał to porozumienie, czy też jego odbiorczy? Sypiał na ziemi za progiem mojego pokoju, gotów odpowiedzieć na każde zawołanie, ale ja go wołać nie potrzebowałam; był zawsze obecny i raczej on mną dyrygował niż ja nim. Drugiego zaraz poranku mojej bytności w Bombaju budzi mnie o 5-tej i zapowiada: „Memsaheb iść do Bazar“. I tak się stało.

Wstąpiłam w te pieniące się fale wciąż przyptywających i odpływających Azjatów, w szum niezrozumiałych okrzyków, w pokusę olśniewających bogactwem towarów, w tłum półnagich Hindusów i kobiet o piersiach jakby wykutych z marmuru portoro, owiniętych w różnokolorowe „saari“. Trochę oszołomiona stałam przy jednym z kramów wybierając za poradą boy'a nieznanne mi owoce o grubej skórce, zimnym miększu, trochę aptecznym zapachu i smaku, do których jednak można się przyzwyczaić. Nagle, tuż spod ręki zaśli-

niony krótki pysk wybiera mi najlepsze frukta, rujnując długim jeżorem ślicznie ustawione w koszykach piramidki. Sprzedawca ani protestuje, ani się oburza, ale spogląda wdzięcznym wzrokiem na świętą krowę, której śniadanie spożyte w jego sklepiku z pewnością przyniesie mu błogosławieństwo dobrej bogini.

Nagle krowa rozpoczyna obrzęd wypróżniania pęcherza i natychmiast spod stołu wyskakuje mała Hinduska podstawiając pod fontannę odpowiednie naczynie, aby ani kropla świętego nektaru, niezbędnego do puryfikacji skazonnych jakąś nieczystością ortodosów, nie została zmarnowana.

Ale jeśli tygrys porwie w swoje objęcia tę samą krowę, wyniesie ją za wioską, ciśnie na ziemię i zacznie w dosłownym znaczeniu tego słowa drzeć z niej pasy rozpoczynając ucztę do zadnich szynek, a następnie nasycony, podciągnie ją w krzaki i nakryje gałązkami, ażeby powrócił do niej po 24 godzinach i wyżerać dalej żywemu jeszcze zwierzęciu wnętrzości, to przez ten cały dzień okrutnych cierpień i błagających o śmierć porykiwań, nikt jej nie palnie w łeb, ani nie wrazi liściowego noża w serce, bo NIE WOLNO ZABIJAĆ!

Szlachetna eutanazja nie jest jeszcze znana w Indiach.

Ale za to krzewiła się tam potężnie zbrodnia na tle religijnym i wykorzenienie tego rodzaju mordu, uprawianego przez zbrodniarzy, wyćwiczonych w swym rzemiośle praktykami religijnymi, przedstawiało angielskiej i hinduskiej policji niesamowite trudności. Przywódcy kasty, a raczej plemienia hinduskiego Thug'ów, wymykali się przez długie lata karzącej dłoni sprawiedliwości. Thug'owie mordowali w bardzo pomysłowy sposób: bez walki, bez krzyków, bez rozlewu krwi. Po prostu, napadając z tyłu na ofiarę, zarzucali jej chusteczkę na szyję, zaplątując ją na karku w dziwny węzełek, który przekręcony trzema palcami powodował nagłą śmierć. Ta manipulacja odbywała się tak szybko, że napadniętemu człowiekowi wystarczyło tylko czasu na wyzioniecie ducha.

Mordowali oni całe karawany ludzi białych, nie tylko dla rabunku, ale i dla chwały, oraz dla uczczenia okrutnej Kali, żony straszliwego boga Sziwy.

A gdy wreszcie wyłapano głównych sprawców zbrodni i naczelnik prowincji, rozległej jak jedno z państw zachodniej Europy, zapytał herszta szajki: „Gdzieście ukryli ciała zabitych“? (bo niepodobna je było odnaleźć), tenże odpowiedział z prostotą: „W ogrodzie

Saheb'a, pod murem"! I na wskazanym miejscu odpokano setki trupów. Podobno temu oficerowi zbiały włosy.

Zaś inny srogi Thug, wypalił sędziemu w czasie procesu takie powiedzonko:

„Zabiłem 780 białych twarzy. Żebyście mnie nie byli złapali, zabiłbym ich tysiąc"! Zawiedziony w swej nadziei, młasnął smętnie językiem i to było jego pożegnanie z życiem.

* * *

Bombaj, to szeroko rozwarte wrota prowadzące do serca Indii! Miasto tak piękne, tak malowniczo położone, jak żadne inne na tym olbrzymim półwyspie. Flagi wszystkich handlowych okrętów świata powiewają w jego porcie, wszystkie kolory skóry, wszystkie narody, wszystkie wyznania tłoczą się w zaułkach starego miasta, gdzie płoną codziennie stosy z trupami Hindusów zmarłych na międzynarodowe epidemie, a na szerokich ulicach nowego miasta, suną sznury samochodów, szukając wśród rozległych ogrodów, mieszkań i bungalów Europejczyków, pałaców zamożnych Hindusów i bogatych Parsów.

W pobliżu tego nowoczesnego miasta, w zatoce bengalskiej, tuli się niemal do lądu mała wysepka Elephanta, nazwana tak od olbrzymiego słonia wyobrazonego w kamieniu, który stoi na straży dobijających do brzegu stateczków i łodzi; skupia ona na sobie uwagę wszystkich turystów i uczonych świata, bo na jej przestrzeni wynoszącej zaledwie kilkanaście kilom. kw. zachowały się z epoki troglodytów hinduskich najstarsze świątynie, całkowicie wykute w skale. Sławę swą zawdzięcza przepięknej w wyrazie grupie „Trimutri“, przedstawiającej Bramę, Winszu i Sziwę, czyli hinduską św. Trójcę. Dzieło to zadziwia doskonałym wykonaniem stwierdzającym w hinduskich jaskiniowcach wysokie poczucie sztuki rzeźbiarskiej.

Świątynia ta poświęcona była Sziwie.

Wszelkie daty dotyczące hinduskich dzieł sztuki i świętych ksiąg, obliczane, nie na wieki a na tysiąclecia, napełniają nas niemal przerażeniem... Przyznaję się, iż okres tworzenia Czterech Ksiąg Wiedzy „Veda“ umieszczany gdzieś na przeszło 4.500 lat przed Chrystusem wprowadza zamieszanie w mój system myślowy. A Manu! Ten może najgłębszy hinduski mędrzec, postać wprost mityczna, który w swej świętej księdze „Kodeks Manu“ zdołał przemyśleć i zamknąć zbiór praw religijnych i cywilnych, przeznaczonych do uporządkowania świata i utrzymania go przy życiu! Wielki cel i boska idea!

Ale ponieważ w obecnej epoce opuściła nas uczciwość i sprawiedliwość, kryjąc swą desperację w niebiosach, kto wie czy jej się to uda...

Bóg jest jeden, w którego łonie wszystko się poczyna i do którego wszystko powraca. Jeden, w niezliczonej liczbie imion, wzywanych rozpaczliwie przez ludy śmiertelnie znuzone materializmem naszych czasów, w których mózgowo spekulacje, wywróciły zasady filozoficzne, naukowe, moralne, a nawet seksualne.

I w tym ubóstwie duchowego zastoju, w tym zamięłowaniu do poszukiwań moralnego zdrowia i natchnienia w ramach wiedzy pozytywnej, mechanicznej, praktycznej, święcimy dziś w całym świecie triumf empiryzmu. Wszelkie rezultaty badań zjawisk życia na podstawie doświadczeń, przyjmuje się bezkrytycznie, usiłując zamienić prawdopodobieństwo w pewność. Ale tej pewności brak nam na każdym kroku i najświetniejsze rezultaty wiedzy, nie dosięgając wyżyny nauki i jądra naszego istnienia, przechodzą jak senny majak! Jakże często te symbole ułudy, skrywają nam wizję wiekuistej mądrości i Istotę Bytu!

* * *

Co jest najważniejsze do poznania w Bombaju? To coś, czego w żadnym innym miejscu na kuli ziemskiej znaleźć nie podobna: Wieże Milczenia, cmentarz Parsów. Ci Parsowie, a właściwie perscy emigranci, zmuszeni w VIII wieku po Chr. opuścić ojczyznę i po ciężkich przeżyciach zatrzymać się wreszcie na indyjskim wybrzeżu, tworząc z biegiem czasu w Bombaju najliczniejszą i najbogatszą kolonię, zdołali na obczyźnie uregulować swe życie według tradycyjnych pojęć, zasad i wierzeń Kongregacji Zoroastra. Oni to umiając przystosować do swego irańskiego pochodzenia i specjalnego odłamu wiary, sztukę życia i wiedzę europejską, doszli do wysokiego rozwoju ekonomicznego i cywilizacyjnego, trzymając dziś w swych rękach ster finansów ich przybranej ojczyzny. Jest ich niespełna 100 tysięcy, a jednak handlowa i finansowa działalność Parsów znana jest we wszystkich narodach klasom zajmującym się tym odłamek wiedzy i pracy.

Mają coś wspólnego z Żydami, ale ich dotkliwy bóg Ahura-Mazda, dalekim jest od mściwego Jehowy.

Jakkolwiek w ich świątyniach płonie ogień na honorowym miejscu, nie są wielbicielemi ognia, a światła: Słońca! Słoneczny to naród ci Parsowie.

* * *

Pomimo ostrzeżeń boy'a i jego niezadowolonej mimiki, pojechałam na to wspaniałe wzgórze noszące nazwę Malabar Hill, na którym w pół skryte w bogatej podzwrotnikowej roślinności, wznoszą się Wieże Milczenia. Jest ich pięć. Dojechawszy do połowy wzgórza wychodzę z autobusu i pieszo zaczynam się wspinać w górę idąc piękną, szeroką drogą, zacienianą ogromnymi drzewami. Czuję przyjemny chłód, a równocześnie jakiś niemiły dreszczyk przebiegający mi po plecach. Wiem dokąd zmierzam. Tam, na szczycie wzniesienia stoją te olbrzymie baszty o grubych murach, doskonale okrągłe, samotne, wysokie, bez dachu, odkryte na wichry, burze i ulewne deszcze, do których wolny dostęp mają tylko sępy, jedyna dekoracja tych murów. Wewnątrz biegną pochylone z góry ku dołowi trzy pierścienie o szerszych, węższych i najmniejszych przedziałkach, przeznaczone dla mężczyzn, kobiet i dzieci, a w centrum loch. Wokół spokój i cisza.

Od czasu do czasu otworzą się tylko małe drzwiczki umieszczone na samym dole wieży, prędko coś tam wniosą, zostawią, wróć, drzwi zamkną, zamierając w bezruchu naprężonego oczekiwania.

Sępy, usadowione na zrębach, zaczynają z wolna przestępować z nogi na nogę, odwracać zasępienie głowy, ostrzyć dzioby na kamieniach, aż wreszcie rozruszawszy skrzydłami powietrze, zapadają w te pierścienie wieży „Na źer! Na źer“!

Jakaś tam walka się toczy w środku, po której drapieży wznoszą się ociężałe na dawne miejsca, a niektórym coś wisi z dzioba...

Ja to wszystko wiem, ale idę wytrwale naprzód, choć także wiem, że nie dojdę... Nie dojdę! Jakiś głos spada mi na głowę z wąskiego mostku, przerzuconego wysoko nad drogą pomiędzy dwoma drzewami:

— Are you Parsi?

— I... am... Christian...

— Go back.

Ale ten rozkaz dany przez kapłana, wyrażony jest głosem poważnym bez cienia nienawiści lub pogardy, gdyż Parsi odznaczają się inteligentną tolerancją religijną, a wybrali ten sposób niszczenia materii, ażeby nie pokalać elementów wody, ziemi, ognia, a nawet powietrza.

Aeroplanom nie wolno przelatywać nad Wieżami Milczenia.

Z jednej więc strony tego cudownego miasta Wieże Milczenia, z drugiej zaś dymiące hinduskie stopy.

* * *

Roztrzęsiona wracam do hotelu i rzucam się na łóżko przymykając oczy i myśląc, że zasnę, ale po krótkiej chwili czuję na sobie czyjś uparty wzrok... Jakie znów лихо? Odwracam się do ściany, na której, jakby do niej przylepiona, trzyma się długa na pół metra jaszczurka, o rozpląsaczonym brzuchu i podniósłszy łebek wpatruje się we mnie z natężeniem, ważąc jakieś złowieszcze zamiary, może kombinuje błyskawiczne wspięcie się na sufit i rzucenie mi się z góry na twarz...

Sekunda przerażenia, a potem krzyk: „Boy“! Już jest przy mnie, ogląda się na wszystkie strony... Ja wyciągam palec wskazując na ścianę:

— Tu była jaszczura! — Zaczyna się śmiać:

— Memsahab no „harm“ zrobić. — I wychodzi.

A ja zatuliwszy twarz w dłonie szepczę z płaczem:

„Boże! Po co ja tu przyjechałam“

* * *

Przed wyjazdem z Bombaju boy przynosi mi z bazaru... puchową kołdrę.

— Boy! Coś ty zwiariował? Po co mi wyrzucasz niepotrzebnie pieniądze? Mam pled!

— Memsahab potrzeba ciepło. W nocy będzie, Madura niżej, zimniej.

Podróż ta wykazała mi praktyczną mądrość boy'a; różnica nocnej i dziennej temperatury zwiększa się. I tak, w dzień upał w wagonie jest tak bezprzykładny, że trzeba zatrzymać obroty wentylatora, gdyż wiatr jaki wytwarza, pali wprost skórę, pomimo pagórka lodu, który boy układa na każdej większej stacji w środku mojego przedziału, obszernego jak mały pokój. Z chwilą zachodu słońca, zimno rzuca się na nas jak wściekły szakal i aby go odgonić, nie zawsze wystarczy szklanka „whisky“. Trzeba ją wypić, ale trzeba też schować nos w puchową kołdrę.

Na stacji, przy pożegnaniu jeden z moich nowych przyjaciół pyta mnie:

— Czy Pani wróci do Indii?

— ... Nie wiem.

— Czy Pani dobrze strzela?

— Oczami, tak.

— Nie wystarczy na tygrysa.

— Co to znaczy?

— Ma Pani rok czasu do nauki. Na przyszły zimowy sezon jedziemy do puszczy Centralnych Prowincji na polowanie.

Roziskrzonym nagle wzrokiem spojrzałam mu w roześmiane oczy o lekko ironicznym wyrazie.

— Nauczę się strzelać!

— All right! Bye - bye!

Gwizdek...

WIADOMOŚCI

z życia świetlic — przegląd wydawnictw — różne

O „TURONIUM” NA ANGIELSKIEJ SCENIE

Mija właśnie druga rocznica powstania węgierskiego, które wstrząsnęło, ale nie obudziło sumienia wolnego świata... Nikt powstańcom nie pomógł w walce. Ale okres popowstaniowy dał okazję do manifestowania uczuć współczucia i przyjaźni dla bohaterkiego narodu. Na wezwanie Mera Londynu we wszystkich prawie zakątkach Wysp Brytyjskich, urządzano imprezy, których dochód przeznaczano na „pomoc dla uchodźców węgierskich”. O udziale zespołu Kółka Dramatycznego w Penley chcę dzisiaj opowiedzieć.

Penley to miejscowość znana chyba przez całą polską emigrację. Bo tam, w małej wiosce walijskiej od roku 1947 znajduje się Polski Szpital. Można tam skrzepić nadwątlone siły, ratować zdrowie pod opieką polskich lekarzy i siostr, ale równocześnie można tam odczuć prawdziwie polską atmosferę i poczuć się prawie jak w domu. Usłyszeć polskie pieśni, rozgrzać serce widokiem ognistego polskiego tańca, przeżyć polskie rocznice, głęboko i uczciwie.

Nasze Koło Dramatyczne ma już za sobą 11 lat istnienia i zdobyło sobie pewną sławę występami tanecznymi no i wystawieniem „Wesela Krakowskiego”. To też często dostajemy zaproszenia od naszych gospodarzy na występy z różnych okazji.

Tak było dwa lata temu. Komitet Pomocy Uchodźcom zwrócił się do Kółka z prośbą o występ w mieście Whitchurch. Wieczór odbywał się zimą porą. Komitet najbardziej życzył sobie tańców ludowych. Ale ponieważ z dawnego dużego zespołu zostały tylko dwie pary taneczne, trudno było z tym wystąpić, nie dając nic więcej. Dawny sławny zespół taneczny, który nieraz już występował na międzynarodowych zawodach rozjechał się po szerokim świecie. Młodzi pozakładali rodziny, Szpital zmniejsza się coraz bardziej... trzeba było wymyślić coś atrakcyjnego, kolorowego, żywego, zrozumiałego, przez gest i melodię, bez pomocy języka. Pora zimowa najlepiej odpowiada obrzędowi kołędniczemu. To też postanowiliśmy pokazać gospodarzom „Turonia”.

„A jak to było opowiem”. Mieliśmy deko-

racje ślicznej krakowskiej izby, jeszcze z czasów „Wesela”. Ustawiliśmy je na angielskiej scenie.

Jest zimowy wieczór. Ojciec naprawia grabie. Matka z dziewczętami szyją. Śliczna polska góralska kołęda „Oj Maluśki Maluśki kiejbę rękawicka”, kołysankową nutą dodaje nastroju, spokoju i pogody. Spokój ten przerywają śpiesznie dziewczęce kroki, i zdyszana sąsiadka dziewczyna przybiega z wieścią, że „chłopaki z turoniem po wsi chodzą” i, na zakończenie tutaj właśnie idą.

Dziewczęta naturalnie cieszą się tą nowiną, poprawiają sobie korale, chusteczki na głowach, zaglądają do okna, aż zniecierpliwiony ojciec uspokaja je i zagania do roboty, żeby przyjąć kołędników, z godnością i „zwyczajnie”... Ale już za ścianą słychać szczekanie psa, tłumne kroki. Stłumione śmiechy i głosy. Rozbrzmiewa stara kołęda „Z Narodzenia Pana dziś dzień wesoly”, a w oknie ukazują się kolorowa, oświetlona od wewnątrz Gwiazda!

Silne pukanie do drzwi, grubą laską, i niski męski głos recytuje odwieczną chyba formułkę:

Idziemy tu po kołędzie.

Niech wam za przykro,

Nie będzie.

A czy będzie, czy nie będzie,

Kołędować, zwyczaj wszędzie.

Pan Jezus się rodził

Po kołędzie chodził,

I my też grzyśni,

Z Turoniem przyszli!

Gospodarz drzwi otwiera, do izby zaprasza i całą gromada z kołędą śpiewaną wchodzi uroczystie. Najpierw Gwiazdory, potem Przodownik i reszta przebierańców. Jest tam Dziad i Dziadówka, jest Cygan i Cyganka, jest i Policjant. No i muzykanci także.

Przodownik staje na środku izby. I zaczyna życzenia:

Na szczęście, na zdrowie na to Boże

Narodzenie,

Żeby się darzyło wszelakie stworzenie,

W komorze, oborze,

Daj Panie Boże!

Snop, przy snopie, kopa, przy kopie,
 Gospodarz między kopami,
 Jako ten miesiąc, pomiędzy gwiazdami!
 Szust! Żytko, jako korytko!
 Szust! jęczmień, jako drzewa pień!
 Szust! pszeniczka, jak rękawiczka!
 Szust! owiesek, żeby przez niego
 nie przeleciał piesek!

I Przodownik ostrym rzutem sypie owies w
 cztery kąty izby, no i po dziewczętach też!

Żeby się darzyły owieczki śliczne,
 I krówki mleczne.
 Kurki czubate i gąski siodłate!
 Żebyście orali siedmioma koniami,
 Jak nie siedmioma, to sześcioma,
 Jak nie sześcioma, to pięcioma,
 Jak nie pięcioma, to czteroma,
 Jak nie czteroma, to trzoma,
 Jak nie trzoma, to dwoma,
 Jak nie dwoma, to jednym,
 Ale za to godnym,
 W każdym kątku, po dzieciątku,
 A na piecu troje!
 Niech będzie pochwalony
 Jezus Chrystus!

Gospodarz dziękuje za życzenia. Gospodyni
 już poczęstunek szykuje, kiedy zjawia się no-
 wa osoba. Żydek wioskowy, kupiec z workiem
 na plecach. Kłania się gospodarzowi i prosi:

Oj panie gospodarzu,
 Mam takiego zwierza,
 Co to ono nigdy nie mówi pacierza,
 Ale tańczy, bardzo pięknie,
 Kto zobaczy, ten się złęknie.
 Moje to zwierzątko
 Od rana chodziło,
 Ani nic nie jadło,
 Ani nic nie piło.
 To moje zwierzątko,
 Chodzi już od rana,
 Schodziło se nóżki
 Po same kolana,
 Chciało by odpocząć,
 U dobrego pana!
 Czy można je wprowadzić?

A no wprowadź, Żydzie! pada odpowiedź
 wszystkich w izbie.

I oto wchodzi maskara. Kudłate toto z roga-
 mi na głowie, kłapnącą paszczą, tur, nie tur
 Kołędniczy go otaczają śpiewając wolną ob-
 rzędową pieśń, w takt której turoń zaczyna
 się kołysać i tańczyć...

— Gdzie turoń chodzi tam się żytko rodzi...
 Gdzie jego stopy, tam powstają kopy...

Ale melodia się zmienia, na szybszą, wesel-
 się, zadzierzystä;

Obróć się turońku, do koła,
 Żeby była gospodyni wesota!
 Obróć się turońku jeszcze raz,
 Żeby był wesoty, gospodarz!
 Obróć się turońku raz drugi,
 Żeby były wesote i sługi!

I turoń podskakuje, zadem bije, co raz
 dziewczynę kolącym pyskiem podrapie...

Teraz i Dziadówka chwyta swojego sta-
 ruszka przytupuje i śpiewa:

— Dziadka mi dać, dziadka mi dać
 Bo mi z dziadkiem dobrze hulać
 Δ jak dziadka nie dostanę
 Całą sobą rznę o ścianę!

Ale Dziadek nie zostaje w tyle:

— Ejże babo, ruszaj sobą
 Bo mi ciężko tańczyć z tobą.
 Tak mi wiesz wedle boku,
 Jako torba od obroku!

Ognista Babka nie czeka, tylko zaczyna
 Dziadkowi wymyślać, goni go po izbie, aż się
 wywracają na podłogę.. Śmiech! Ale już wy-
 pada druga para. Muzykanci zmieniają nutę
 na ognistego czardasza chyba. Cyganka kolo-
 rowa, pełna świecidełek i fruwająca wstążka-
 mi chwyta swego towarzysza, a ten śpiewa do
 tańca:

Ja se Cygan, co nic nie mam,
 Ino jedną Cyganeckę, co z nią ligam.

Ale oto „zwierzątko“ mocniej odepchnięte
 przez prześladowaną dziewczynę, zatacza się
 i pada bez życia...

Cóż się dzieje! Dziad się modli. I rozpacza.
 Dziadówka odczynia „uroki“. A Cygan już
 nóż wyciąga zza cholewy, żeby z niego ścią-
 gać skórę... Aż zrozpaczony Żydek policjanta
 prowadzi i ten spokój przywraca, zabierając
 krzyżących Cyganów do kąta... Gospodarz
 wreszcie lekarstwo proponuje i... flaszkę z go-
 rzalką wyciąga. Żydek próbuje leczyć „Zwie-
 rzątko“, ale co raz fałszka kieruje się ku jego
 gardłu, nie do Turoniowej paszczy, co obecni
 przyjmują głosami oburzenia. Nareszcie i
 „zwierzątko“ dostaje swoją część i Turoń
 wstaje! Znowu wesoło rozbrzmiewa:

„Obróć się Turońku“, i Turoń tańczy...

Teraz zaczyna się goszczenie kolędni-
 ków. Gospodarz wódką, dziewczęta i gospody-
 ni specjalnie przygotowanym pieczywem...
 Wreszcie zziąjany „turoń“ ściąga potworny
 łeb, zdejmując kozuch i w jego miejsce staje
 najładniejszy chłopak ze wsi. Kłania się piękn-
 ie dziewczętom, ojców o pozwolenie prosi,
 muzycze nutę podaje i już suną pary ogni-
 stego krakowiaka!

Ale wszystko się kończy. Przodownik daje znak łaską. Kolędnicy gromadzą się w osobną grupę i kończą wesołość poważną znów pieśnią obrzędową:

— *Za kolędę dziękujemy, zdrowia szczęścia
winszujemy*

Zdrowia szczęścia dużo chleba.

A po śmierci wprost do nieba!

I odchodzą.

Tak przedstawiliśmy starodawny, a żywy jeszcze do przedwojennych czasów obrzęd kolędniczy. Tak widziałem Turonia obchodzonego w okolicach Łącka w Sądecczyźnie. Tak on odżył na angielskiej scenie. (Whitchurch leży już w Anglii).

Naturalnie, widowisko było poprzedzone wyjaśnieniami po angielsku, że to jest obrzęd stary, obchodzony na wsiach w całej prawie Polsce.

Prócz tego nasza orkiestra pod dyрекcją p. Holwegera odegrała szereg polskich melodii ludowych.

Nasz zespół był doskonały. Dostojny ze strony gospodarzy, groteskowy i rubaszny czasem, jak tego wymagają odpowiednie charaktery. Brawa były duże, i podziękowania były całkiem przyjemne. Jeden był tylko mankament. Cała uroczystość trwała 5 godzin! Bo każda organizacja z całego okręgu chciała okazać sympatię Węgrom i Komitet organizacyjny nie mógł odmówić nikomu! Ale przez to całość straciła na atrakcyjności. Myśmy przynajmniej występowali w pierwszej połowie...

Maryna Chwalibóg.

CENTRALA BIBLIOTEK RUCHOMYCH (DZIESIĘCIOLECIE)

W historii polskiej oświaty pozaszkolnej za granicą Centrala Bibliotek Ruchomych w Londynie zajmie odpowiednie miejsce. Obchodzi ona w tym roku dziesięciolecie działalności. Powstała ona w 1948 r. przy Komitecie dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii, opierając swoje istnienie o te same zasady prawne co i szkoły polskie oraz oświata pozaszkolna w obozach t.j. Polish Resettlement Act, z mocy którego Ministerstwo Oświaty Zjednoczonego Królestwa w ramach normalnego budżetu przeznaczało pewne środki finansowe na zaspokojenie potrzeb oświatowo-kulturalnych Polaków, osiedlonych w Wielkiej Brytanii. Po rozwiązaniu Komitetu — Centrala Bibliotek Ruchomych została włączona do Polish Research Centre i oddana pod opiekę Komitetu Oświatowo-Bibliotecznego, który dla spraw bibliotecz-

nych miał specjalny Komitet Biblioteczny, będący w istocie władzą nadzorczą dla Centrali Bibliotek Ruchomych.

Jak dalece była potrzebna Centrala Bibliotek Ruchomych świadczy o tym historia jej dziesięcioletniej działalności, którą można by zamknąć w kilku cyfrach porównawczych: w 1948 r. zakupiono 3,500 książek, wysłano 4 biblioteki ruchome i obsłużono nimi 100 czytelników; w 1958 r. Centrala Bibliotek Ruchomych posiada w swoim księgozbiornie ponad 32,000 książek, obsługuje blisko 170 punktów bibliotecznych, w tym ponad 100 brytyjskich bibliotek publicznych, które uruchomiły dla Polaków oddziały polskie, — wysyła rocznie ponad 200 bibliotek ruchomych i tyle samo otrzymuje bibliotek do wymiany; przeszło 20,000 książek jest stale w ruchu i korzysta z nich ponad 10,000 czytelników. Utrzymanie tej instytucji oświatowej kosztuje rocznie blisko £5,000 (łącznie z zakupem nowych książek, oprawą i kosztami wysyłki bibliotek). Centrala Bibliotek Ruchomych nadal korzysta z subwencji Ministerstwa Oświaty Zjednoczonego Królestwa.

Centrala Bibliotek Ruchomych poprzez rozległą sieć biblioteczną (w ciągu 10-lecia obsłużyła 350 miejscowości) docierała z polską książką wszędzie, gdzie znajdowali się Polacy, choćby w najmniejszej grupie. Z egzotycznych poczynań było wysłanie jednej biblioteki ruchomej (45 tomów) dla kilkudziesięciu Polaków, którzy służyli w Królewskim Pułku Człogów w Hong Kongu. W ostatnich latach poważnie rozbudowano dział książek dla dzieci i młodzieży, czyniąc to świadomie z myślą o utrzymaniu tych najmłodszych przy polskości. Wysyłane są komplety książek dla szkół sobotnich polskich przedmiotów ojczyźnych. Nie ma i nie było żadnej organizacji polskiej, która by nie korzystała ze służby oświatowej Centrali Bibliotek Ruchomych. Dziesiątki tysięcy Polaków w Wielkiej Brytanii doskonale znają skromną, ale jakże ofiarną pracę Centrali Bibliotek Ruchomych, która za wszelką cenę unika biurokracji, a za główny cel stawia sobie obowiązek dotarcia z polską książką do każdego Polaka, aby mu dostarczyć nie tylko dobrej, kulturalnej rozrywki, lecz również utrzymać w nim łączność duchową z Krajem i wszystkim tym, co było dla niego wartościami nieprzemijającymi w formowaniu jego osobowości. Jakże budującymi są częste głosy zawodowych bibliotekarzy z angielskich publicznych bibliotek, którzy domagają się więcej książek polskich dla dorosłych i młodzieży oraz dzieci, aby zapewnić im większy wybór literatury, która mogła by ich

głód czytelnictwa zaspokoić. To wskazuje, że Centrala Bibliotek Ruchowych jeszcze nie osiągnęła szczytu swego rozwoju i że ma wciąż jeszcze szanse do zwiększenia ilości nie tylko punktów bibliotecznych, lecz również ilości czytelników.

Na Polonii w Wielkiej Brytanii, liczącej około 150,000 osób spoczywa poważny obowiązek współdziałania z Centralą Bibliotek Ruchowych w następnym dziesięcioleciu w akcji szerzenia czytelnictwa wśród wszystkich Polaków, jak również w dziedzinie przyjsia tej pożytecznej instytucji z pomocą finansową, gdy tego zajdzie potrzeba, bo środki materialne na prowadzenie Centrali Bibliotek Ruchowych nie zwiększają się, a nawet grozi niebezpieczeństwo kurczenia się, podczas, gdy zasięg i ilość pracy do wykonania z każdym rokiem poważnie wzrasta. Skromny personel Centrali Bibliotek Ruchowych i mało odpowiedni lokal na tak żywotną instytucję, służącą całemu społeczeństwu polskiemu w Wielkiej Brytanii, to główne przeszkody hamujące dalszy jej rozwój. Należy jednak wierzyć, że czynniki sprawujące nadzór i starające się o środki finansowe na prowadzenie Centrali Bibliotek Ruchowych przezwyciężą wszystkie trudności, a przy należytym zrozumieniu i współdziałaniu z całym społeczeństwem polskim w Zjednoczonym Królestwie zapewnią tej instytucji trwałe podstawy rozwoju w następnym dziesięcioleciu.

M. A. S.

SEKCJA BIBLIOTECZNA PRZY RADZIE KULTURALNO - OŚWIATOWEJ

Przy Radzie Kulturalno - Oświatowej Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii w początkach 1958 r. została zorganizowana Sekcja Biblioteczna pod przewodnictwem kierownika Centrali Bibliotek Ruchowych *M. Stopy*. Zadaniem Sekcji jest zrzeczenie pracowników bibliotecznych wszystkich polskich instytucji na obszarze Wielkiej Brytanii i opracowanie programu propagandy i upowszechnienia książki polskiej na obczyźnie.

Pierwsze zebranie Sekcji odbyło się w dniu 3 lutego. Jako jedno z najpilniejszych zadań uznano przeprowadzenie rejestracji wszystkich oświatowych bibliotek w Wielkiej Brytanii oraz zapoczątkowanie akcji organizowania bibliotek z polskimi książkami, przy polskich szkołach (sobotnich) nauczania przedmiotów ojczyźstych.

Na drugim zebraniu, odbytym w dn. 28 maja, przedyskutowano i zaproponowano kwestionariusz rejestracyjny bibliotek oraz sposoby dotarcia z książką polską do szkół sobotnich. Pierwszą tego rodzaju akcją podjęła

C.B.R. rozsyłając kilkaset ulotek do dzieci, uczęszczających do tych szkół, informujących w jaki sposób młodzież i dorośli mogą korzystać z książek, będących w posiadaniu Centrali Bibliotek Ruchomych w Londynie. *J. J.*

WIEŚCI Z KRAJU

Jak już na innym miejscu wspomnieliśmy (zob. str. 13 Nr 209 Poradnika), dochożą nas bardzo niewystarczające i skąpe wiadomości o pracy oświatowej w Polsce. Ostatnio w czasopiśmie „Oświata dorosłych“ znajdujemy kilka wiadomości, które niewątpliwie zainteresują czytelników Poradnika. I tak w dniach od 24 do 27 lutego 1957 odbyła się w Sulejówku pod Warszawą „Krajowa narada działaczy oświaty dorosłych“. Na konferencji tej wygłoszono szereg referatów, które mają być ogłoszone w formie książkowej. Omówienie tych referatów zostawiamy do czasu ogłoszenia tej książki oraz otrzymania jej. Natomiast z krótkiego sprawozdania z tej „narady“ warto zanotować niektóre fragmenty. „Szczególnie dużo czasu poświęcono dotychczasowemu dorobkowi oświaty dorosłych oraz błędom i wypaczeniom, popełnionym w ostatnich kilku latach, które zaciążyły nad rozwojem oświaty i kultury dorosłych. W wyniku tych błędów i wypaczeń zubożał społeczny ruch kulturalno - oświatowy, a pewne jego formy, jak np. *uniwersytety powszechne i ludowe zupełnie zniknęły* ze szkodą dla rozwoju oświaty i kultury dorosłych“. Z tego lapidarnego zdania widzimy, że skasowano w „minionym okresie“ tych 42 uniwersytetów ludowych, jakie samorzutnie powstały w latach po odejściu Niemców. Obecnie wiemy o tym, że znowu istnieją uniwersytety ludowe, ale tylko w ilości siedmiu. — Na naradzie tej powzięto szereg uchwał, o których można powiedzieć, że są słuszne w obecnym układzie rzeczy w Polsce, ale nie wiadomo jak czynniki urzędowe i partyjne do tych wniosków i dezyderatów się odniosą. Przyszłość pokaże, czy te uchwały zostały zrealizowane i, co ważniejsze, jak je w obecnych stosunkach zrealizowano.

22 maja 1957 odbyła się w Warszawie druga „Warszawska konferencja czytelnicza“, w wyniku której uchwalono szereg wniosków. Między innymi postanowiono „wprowadzenie badań czytelnictwa robotniczego we wszelkiego typu bibliotekach oświatowych, w punktach bibliotecznych, w hotelach robotniczych, a także wśród absolwentów — zwłaszcza szkół podstawowych oraz studentów wyższych uczelni“. Smutne, że dopiero tak późno podejmuje się tego rodzaju badania i to w

państwie, gdzie panuje „dyktatura proletariatu“. Innym ciekawym wnioskiem jest, że „konferencja postanowiła zwrócić się do ośrodka Instrukcyjno - Metodycznego z prośbą o wypracowanie nowych metod zakupu książek dla użytku bibliotek, a do Instytutu Książki i Czytelnictwa o wypracowanie dla użytku bibliotek oświatowych metod propagowania czytelnictwa wśród robotników“.

20 maja 1957 r. odbyła się w Warszawie konferencja „w sprawie kształcenia oświatowców“. Dotychczasowy „ośrodek szkoleniowy“ przeniesiono z Jadwisina do Warszawy, a przedstawicielka Instytutu Pedagogicznego p. Anna Chmielewska wypowiedziała się, że „o tym, czy ośrodek spełni swoje zadanie, będzie decydować rekrutacja, metody nauczania, dobór wykładowców, ich poziom i wiedza“.

„Konferencja w sprawie potrzeb naukowych“ odbyta w Warszawie dnia 16 października 1957 r. zajmowała się organizacją naukową, teoretycznej pracy badawczej nad oświatą dorosłych. Prof. Wachowski z Poznania powiedział między innymi: „Ruch oświatowy staje przed wielkimi zadaniami, a równocześnie jest on bardzo słaby“.

Czytającego sprawozdania z tych konferencji ogarnia głęboki smutek, że przez tak długi czas zaprzepaszczono piękny dorobek oświaty dorosłych Polski przedwojennej, i że dopiero teraz po „październiku“ zaczyna się pracę tę prawie od nowa. Oby tylko dobre chęci działaczy oświatowych znowu nie poszły na marne, tego tylko trzeba by sobie i im tam życzyć.

J. H.

Zagadnienia oświaty dorosłych. Pod redakcją Kazimierza Wojciechowskiego. Wrocław 1958, str. 408. Polska Akademia Nauk. Komitet Nauk Pedagogicznych.

„Zagadnienia oświaty dorosłych“ stanowią szósty tom „Studiów pedagogicznych“, wydanych pod ogólną redakcją prof. Bogdana Suchodolskiego, i zawierają szereg bardzo interesujących prac, zaznamiających czytelnika z powojenną historią i obecną problematyką polskiej oświaty dorosłych.

Straszliwe straty ludnościowe i materialne, jakie poniosła Polska w drugiej wojnie światowej przesłaniają nam często fakt, że wojna była również katastrofą dla oświaty polskiej. Wiemy z jakimi trudnościami borykała się oświata brytyjska po wojnie. A przecież w Anglii przez cały czas wojny pracowały szkoły i uniwersytety, a oświata dorosłych w

wojsku była rozbudowana na olbrzymią skalę. Gdy sobie uświadomimy, że wtedy w Polsce mieliśmy tylko tajne komplety, widzimy dopiero jaki ogrom zadań stanął przed oświatą polską po wojnie, przy równoczesnym braku nauczycieli, budynków szkolnych i podręczników. W tych warunkach nasz stosunek do osiągnięć powojennych musi być taki jak w sławnym aforyzmie doktora Johnsona o psie, chodzącym na dwóch łapach: „nie robi tego bardzo dobrze, ale cud, że w ogóle potrafi“!

Z pracy Abrahama Fessela: „Z doświadczeń w dziedzinie kształtowania procesu dydaktyczno - wychowawczego w szkołach dla pracujących“ dowiadujemy się, że mimo okólników i instrukcyj, nakazujących w pierwszym rzędzie likwidację analfabetyzmu, głównym zadaniem oświaty dorosłych do roku 1949 było siłą faktu uzupełnianie wykształcenia średniego i powszechnego młodzieży, której wojna uniemożliwiła normalną naukę. Do analfabetyzmu zabrano się dopiero w 1949 roku, by w ciągu 3 lat nauczyć prawie 800 tys. osób czytać i pisać.

Anna Kowalczevska (z domu Oderfeldówna) w pracy „Posługiwanie się prozą użytkową przez półanalfabetów“ daje znakomitą wprost analizę tego niezmiernie bolesnego problemu, oraz nadzwyczaj wartościowe rady praktyczne dla nauczycieli. Pozwolę sobie cytować dwa skrajne przykłady, z szeregu podanych przez autorkę:

„Uczymśe szkole Pracujących przy Ulcy Żelaznej 88 chcem na uczyć się Dorze pisaci Nigdi nies zapórzno naukie Do Pisana poćiebni jest ołówiek Pióro dobra stalówka Na uczymy się Pisacz równo bies beduw“.

„Widzimy nie ma dzielnicy, żeby jej nie sięgła dłoń robotnika dzięki Związkowi Radzieckiemu i które dostaliśmy gotowe plany i inżynierów i maszyny naszym ludem pracującym naszym kadrom i przodownikom naszej klasie robotniczej“.

Z pewnym niepokojem czytałem wstęp autorki pracy, przekonujący (zresztą bardzo wymownie) o potrzebie zwalczania półanalfabetyzmu, gdyż sprawa ta jest tak oczywista, że zdawało by się iż władz oświatowych nie potrzeba o tym przekonywać.

W. Szewczuk w obszernej pracy „Recepcja odczytu popularnego“ daje dużo przykładów rezultatów akcji odczytowej, nie liczącej się z rzeczywistym poziomem i potrzebami słuchaczy. Całkowicie też możemy się podpisać pod jego wytycznymi dydaktycznymi ogólnymi:

„Planowanie tematyki powinno się opierać na rozszerzonej i pogłębionej znajomości po-

trzeb i możliwości słuchaczy na wsi... powinno uwzględniać podstawowe zasady dydaktyczne... Tematy nastawione na rozbudowanie wiedzy słuchacza nie mogą obejmować olbrzymiej gamy zagadnień, począwszy od astronomii, a skończywszy na historii literatury, gdyż punkty zahaczenia w umyśle słuchacza dla takiej skali tematów są zbyt słabe, ażeby mogły stanowić ośrodki wiązania treściowego, rozbudowywania poznania rzeczywistości“...

Kazimierz Wojciechowski woła „O stylistykę popularyzacji“, dając wiele przykładów dobrej i złej popularyzacji oraz skutków mętniactwa językowego.

Maria Walentynowicz omawia „Metody badania czytelnictwa młodych kadr technicznych“. Artykuł jej jest właściwie podręcznikiem dla bibliotekarzy i podaje sporą bibliografię zagadnienia. Uzupełnieniem tego podręcznika jest drugi jej artykuł: „Kultura czytelnictwa techników przemysłu metalowego“—dobre studium monograficzne, również uzupełnione bibliografią.

Maria Rörichowa omawia „Zagadnienie pracy kulturalno-wychowawczej w parkach kultury“. Jest to ciekawe studium o charakterze pionierskim, gdyż, jak sama autorka zaznacza: „nie podjęto dotychczas u nas żadnych prac teoretycznych, nie prowadzi się badań socjologicznych, brak opracowania dotychczasowych doświadczeń, brak nawet literatury dotyczącej działalności parków innych krajów“.

Na pierwszy rzut oka artykuły J. Sosnowskiego („Z obserwacji procesów przekonywania w szkołach dla pracujących“) i F. Urbańczyka („Jaki powinien być podręcznik matematyki dla szkoły korespondencyjnej“) wydają się na tle naszej rzeczywistości oświatowej przysłowiowym kwiatkiem przy kożuchu. Zawierają one jednak obok ciekawych rozważań teoretycznych wiele spostrzeżeń o znaczeniu praktycznym.

Poza jednym odsyłaczem do Hume'a nie uwzględniono nigdzie w tomie tym literatury anglosaskiej i skandynawskiej przedmiotu i doświadczeń oświaty dorosłych w Skandynawii, w Anglii i w Ameryce. Z literatury zachodniej figuruje tylko garść prac niemieckich i dwie lub trzy prace francuskie. Byłoby pożądane, aby nasi oświatowcy starali się zapoznać z tym, co się robi na polu oświaty dorosłych w Anglii (również wśród Polaków), Szwecji (która przoduje na tym polu obecnie) i Danii.

(Dalszy ciąg na str. 48).

KS. ŁUCJAN KRÓLIKOWSKI

DZIEJE „UPROWADZONYCH“ DZIECI

W r. 1949 delegacja reżymu warszawskiego do Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku wносиła raz po raz oskarżenia o rzekomym uprowadzeniu 146 sierot polskich z Afryki Wschodniej do Kanady. Oskarżenia kierowano przeciwko Międzynarodowej Organizacji Pomocy Uchodźcom (IRO) przeciwko rządowi włoskiemu za umożliwienie sierocińcowi „ucieczki“ z Włoch do Niemiec, gdy nota reżymowa domagała się zwrotu dzieci „prawowitym“ władzom, dalej przeciwko opiekunom sierot — p. E. Grosickiej i mnie. Echem tych oskarżeń były liczne artykuły w prasie komunistycznej po obu stronach Żelaznej Kurtyny. „Życie Warszawy“, w artykule p.t. „Kidnaperzy na skalę międzynarodową“ przepowiadało, że chłopcy staną się niewolnikami kapitalistów kanadyjskich, zaś dziewczęta będą stręzione do nierządu.

Dziewięć lat minęło od chwili lądowania „afrykańskiego“ sierocińca w Halifaxie. Była to ostatnia grupa dzieci ocalonych z Rosji, pozostała po zlikwidowaniu sierocińców na terenie Indii i Afryki Wschodniej. Podrostki i podlatki zmieniły się w dojrzałe osoby. Co się się z nimi działo przez tych dziewięć lat w Kanadzie?

Wróćmy do roku 1949, kiedy walka z komunistami o dzieci doszła do punktu szczytowego. Zabiegi Komitetu Opiekuńczego w Afryce o gościnę dla sierot w wolnych krajach zachodnich okazały się bezowocne. W tym najbardziej krytycznym momencie sytuacji uratował Ojciec św. Pius XII, na którego prośbę dzieci przyjął arcybiskup Montrealu J. Charbonneau.

Po nieprawdopodobnych wprost tarapatkach na terenie Włoch i Niemiec dzieci dotarły do Kanady. I tu przed wychowawcami stanął wielki problem. Co zrobić z dziećmi, po większej części w wieku dojrzewania, którym przejścia wojenne i tułaczka po świecie przyspieszyła dojrzałość psychiczną? Ksiądz J. Caron delegowany przez arcybiskupa do opieki nad dziećmi i zakonnice francuskie byli przygotowani do przeprowadzenia adopcji. Rodziny francuskie czekały na przydzielenie im sierot.

Adopcję przez Kanadyjczyków uważałem za niemożliwą i krzywdzącą dla dzieci, których poczucie wspólnoty narodowej pogłębiło się znacznie na skutek prześladowania w Rosji i tułaczkę z rodakami.

Przynaglany do wszczęcia adopcji skierowałem swój wzrok ku Polakom w Kanadzie

i w Stanach Zjednoczonych, ale ci zachowywali ostrożną rezerwę, nauczeni przykrymi doświadczeniami niedawnej przeszłości, kiedy sporo sierot przybyłych z Indii i Meksyku, po krótkim pobycie w rodzinie zerwało łączność ze swoimi przybranymi rodzicami i usamodzielniało się. Sieroty te pozostawiły po sobie opinię dzieci trudnych, o rozmaitych kompleksach, o odrażających wadach takich jak samolubstwo, pretensjonalność, skłonność do kłamstwa, lenistwa, kradzieży, niewdzięczność i nadwrażliwość nerwową.

Obawiałem się, że nasze sieroty wychowane w tych samych warunkach, co i tamte wydadzą się przybranym rodzicom tak samo trudne do zaaklimatyzowania się w rodzinie, choć większość z nich posiadała duże walory duchowe. Przeczucie moje sprawdziło się. Z sześciu najmłodszych dzieci (po 9 lat), tylko trzy zostały formalnie zaadoptowane. Toteż dziś rad jestem, że nie zmuszaliśmy dzieci do adoptacji, choć otarcie się o życie rodzinne przydało by się im. Uniknęliśmy przez to wielu tragedii dla obu stron.

Doszedłszy do porozumienia z władzami francuskimi, że dzieci w zasadzie nie będą adoptowane, lecz rozmieszczone w bursach, arcybiskup Charbonneau odwołał się do zakładów naukowych przy zgromadzeniach zakonnych, prosząc je o przyjęcie po kilkoro dzieci na własne utrzymanie. Na apel odpowiedziano z prawdziwie chrześcijańskim miłosierdziem. W niedługim czasie 127 dziewcząt i chłopców rozjechało się do szkół znajdujących się na obszarze archidiecezji, a nawet poza nią. Reszta najstarszych sierot poszła do pracy, dziewczęta do służby domowej, chłopcy do fabryk.

Po jednym i drugim roku nauki pewien odsetek młodzieży, zrażonej trudnościami językowymi i adaptacyjnymi odpynął ze szkół, zadawalając się jakimś skróconym kursem zawodowym. Większość opanowała trudności, a osiągnięciami w nauce i wzorowym zachowaniem budziła podziw u Kanadyjczyków.

Wspomnę przy okazji, że zakłady zakonne na czas ferii świątecznych i wakacyj letnich zamykano, zaczęliśmy musieliśmy zająć się ulokowaniem sierot na ten czas w rodzinach. Rodziny polskie w Montrealu w poczuciu chrześcijańskiego i patriotycznego obowiązku przyjmowały je chętnie. Prócz tego latem urządzaliśmy kolonie. Pobyt w rodzinie, choć tylko na krótki czas, wywierał na sieroty dobroczynny wpływ. Widać było jednak, że sieroty przyzwyczajone do dużej swobody, pewnego

luzu życiowego, czuły się w rodzinie zbyt skrupowane.

Z dorastaniem młodzieży zwiększały się wydatki. Wiele jednostek po opuszczeniu high school i bursy, zwłaszcza chłopcy, zamieszkało na stacji i uczęszczało do szkół zawodowych. Trzeba było opłacać stancję, naukę, utrzymanie łącznie z przejazdami i rozrywkami. W r. 1951 następca arcybiskupa Charbonneau, ks. kard. P. E. Leger, zwrócił się do episkopatu kanadyjskiego o rozłożenie ciężaru utrzymania naszych sierot na wszystkie diecezje. Odtąd wszystkie wydatki, które przez szereg lat utrzymywały się na wysokości 20 tys dolarów rocznie, pokrywała Kanadyjska Konferencja Katolicka, odpowiednik polskiego Caritas'u.

Chłopcy obierali sobie w 90% zawód w dziedzinie mechaniki i elektrotechniki. Wyższe studia przedsięwzięło paru chłopców w zakresie inżynierii, medycyny, politechniki, chemii i teologii. Dziewczęta obierały sobie szkoły gospodarstwa domowego, co dawało im wiadomości z zakresu szycia, gotowania, pielęgnowania dzieci i dekoracji domu. Sporo spomiędzy nich, spostrzegłszy się, że to wykształcenie zmusza bezdomne sieroty do przyjęcia posady służącej (domestic), przerzuciło się do szkół handlowych, po ukończeniu których znajdowały dobrze płatne posady. Około 20 dziewcząt poszło do szkół handlowych po ukończeniu high school. Osiem ukończyło szkołę pielęgniarstwa (nursing). Jedna poszła do college'u na studia klasyczne. Trzy wstąpiły do zakonu. Jak dotąd w związek małżeński wstąpiło 47 dziewcząt i 20 chłopców. Małżeństwa są szczęśliwe. Bóg obdarzył prawie każde z nich potomstwem. Materiałny byłym sierotom powodzi się nieźle. Niektóre z nich posiadają własny domek i auto. Każda rodzina stanowi komórkę polskości. W bieżącym roku szkolnym uczy się jeszcze sześcioro młodzieży na koszt episkopatu, ale praktycznie „afrykański sierociniec“ już nie istnieje.

Tak przedstawia się bilans 9 lat pobytu w Kanadzie. Wychowankowie sierocińca są dziś wartościowymi ludźmi, świadomość czego stanowi dla nich samych źródło szczęścia, a dla wszystkich, którzy pracowali dla ich ocalenia, zapłatę za poniesione trudy*).

*) Podajemy do wiadomości, że ks. Ł. Królikowski przygotowuje do druku książkę na temat sierot i młodzieży ciałonej z Rosji w 1942 r., które przeszły przez sierocińce w Teheranie, Ispanii, Afryce, Indiach, Meksyku i Kanadzie. Książka ta będzie cennym wkładem do dziejów emigracji polskiej z Rosji na wolny Zachód (*Redakcja*).

TADEUSZ WAWRO

Z DOŚWIADCZEŃ POLSKIEGO BIBLIOTEKARZA W SZKOCJI

— „No co. Wiera, będzie wojna czy nie“?

— „Nie sędzę, Panie kierowniku“ odpowiedział Wiera — będzie, jak zwykle bywa w takich wypadkach; rozejdzie się po kościach, jako że z dużej chmury raczej małego deszczu należy się spodziewać“.

Była to krótka pogawędka między mną a moim majstrem, Wierą, na budowie ulicy Dworcowej w Pszczynie, na Górnym Śląsku, w piękne, słoneczne popołudnie z końcem sierpnia 1939-go roku.

W niespełna trzy dni po tym zapewnieniu Wiery rozszalała się burza wojenna, która tyłu z nas rozrzuciła po całym globie. Poprzez obozy internowanych na Węgrzech, poprzez wiele „zielonych“ granic i zalewaną przez hitlerowskie hordy Francję zostałem rzucony w czerwcu 1940-go roku tu, w Szkocji i, nim się zdołałem opamiętać, już budowałem płoty kolczaste wzdłuż wschodnich wybrzeży Szkocji — jako jeden z podchorążych kompanii Saperów. W latach od 1940 do 1946 pełniłem w wojsku różne funkcje: kancelisty, oficera opieki, sportowego, d-cy plutonu i wiele innych, będąc też przenoszonym z kompanii do kompanii. Wreszcie w maju 1946-go roku zostałem przydzielony do Szkoły Ogrodniczej P.K.P.R. w Findo - Gask k. Perth, na stanowisko wykładowcy miernictwa, melioracji rolnych oraz angielskiego rolniczego słownictwa fachowego. Była to praca bardzo interesująca i czułem się bardzo zaszczycony jej powierzeniem i szczęśliwym, że mogę choć w tych skromnych rozmiarach pomóc tym, którzy chcieli się nauczyć nowego zawodu. Z myślą o nich pracowałem przez dwa i pół roku — równoległe z wykładami w Szkole — nad rolniczym słownikiem angielsko-polskim, który został wydany w skromnej szacie przez Ośrodek Wyszczolenia Rolniczego w roku 1948.

Po zakończeniu prac nad słownikiem spostrzegłem z przerażeniem, że pozostało mi tylko trzy miesiące służby w P.K.P.R., po zakończeniu której miało nastąpić zdemobilizowanie i pozostawienie mnie własnemu losowi. Odprawę wojenną i wszystkie oszczędności wydałem na paczki do Polski i w rezultacie pozostałem bez pieniędzy i konkretnych planów na przyszłość. Początkowo chciałem założyć spółkę melioracyjno - pomiarową. Znalazłem nawet dwóch przyszłych partnerów. Rozdzieliliśmy role między siebie, ustaliliśmy

ramowy plan działania, uścisnęliśmy sobie mocno dłonie po uroczystych zapewnieniach, że „razem będziemy odtąd dzielić dole i niedole“ i... spółka nasza się rozleciała. Okazało się potem, że moi niedozbli partnerzy prowadzili próbne rokowania na kilku frontach równocześnie... Pozostałem więc sam. Na szczęście nauka nie poszła w las. Postanowiłem, że odtąd będę polegał tylko na własnych siłach.

Pewnego dnia wpadłem na pomysł założenia zmotoryzowanej angielskiej wypożyczalni książek. Będąc prawie zawsze sam w kolizji z regulaminami różnych bibliotek, wynikającej głównie z niechęci, czy niemożności pójścia do biblioteki w oznaczonym czasie — doszedłem do wniosku, że kto wie, czy nie byłoby dobrze założyć zwykłą bibliotekę z regularną dostawą książek do czytelników. Myśl ta nie dawała mi spokoju przez parę dni i nocy. Wreszcie postanowiłem zrezygnować z zamiaru założenia przedsiębiorstwa melioracyjnego, wymagającego większego kapitału zakładowego i gruntownej znajomości miejscowego rynku pracy i... zaryzykować założenie wspomnianej biblioteki na kołach.

Wieczory i dni wolne od pracy ostatnich trzech miesięcy służby w P.K.P.R. poświęciłem pracy nad nowym projektem. Zacząłem od tego, że pewnego dnia pojechałem do Perth, do miejscowego oddziału biblioteki „Booths“, by zakupić pewną ilość używanych książek. Ponieważ byłem wtedy „ciemny jak tabaka w rogu“ i nie wiedziałem jakich autorów książki są najbardziej popularne, poprosiłem jedną z doświadczonych bibliotekarek, by mi pomogła te książki wybrać. Kupiłem pierwsze 200 książek z mieszanym uczuciem niepewności; „pójdzie ten interes czy nie“... W wolnych chwilach oprawiłem te i dalszych 600 książek i skatalogowałem je według własnego wzoru. Kupiłem na spłaty ex-wojskowy „shooting-brake“ i z całym dobytkiem pojechałem po demobilizacji do miejscowości Tayport, położonej na południowej stronie ujścia rzeki Tay, naprzeciwko miasta Dundee. Upodobałem sobie zarówno Tayport jak i Dundee jeszcze w roku 1940, kiedy to patrolowałem okoliczne wzgórza, wypatrując na niebie niemieckich spadochroniarzy, znajdując równocześnie wielu przyjaciół wśród miejscowej ludności szkockiej.

Działalność swoją rozpocząłem z prywatnego mieszkania moich przyjaciół, mieszkając

w domu miejskim. Było to nielegalne, ale cóż miałem robić, skoro nie mogłem sobie pozwolić na kupno czy wynajęcie sklepu, w dodatku nie mając pewności czy interes pójdzie. Musiałem więc zaryzykować — przynajmniej przez pewien czas. W pierwszym tygodniu zdołałem rozwieść 40 książek, głównie wśród moich osobistych przyjaciół i znajomych w Tayport. Znajomi ci polecili mnie swoim krewnym i znajomym, a ci znów skierowali mnie dalej w teren. Tym prymitywnym sposobem umieszczając przeciętnie 10—15 książek wśród nowych czytelników tygodniowo, dochodząc po roku do 550 książek, rozwożonych w ciągu tygodnia. Gdy wspomniany „shooting-brake“ okazał się zbyt kosztownym pojazdem, jako że zużywał 1 galon benzyny na 10-12 mil (częste ruszanie z miejsca) zmuszony byłem go sprzedać i przez następny okres paru miesięcy roznosiłem książki w dwóch walizkach. Był to okres bardzo trudny do przetrzymania i kilka razy zastanawiałem się czy warto się tak męczyć, bez żadnych widoków na kupno ekonomiczniejszego pojazdu mechanicznego. Wreszcie po długich poszukiwaniach znalazłem na rynku motocykl na 3-ch kołach (dwa z przodu a jedno z tyłu) — zbudowałem odpowiednią skrzynię z szufladami o łącznej pojemności 240-280 książek i był to bodajże punkt zwrotny w mej karierze „zmotoryzowanego“ bibliotekarza. Miałem wprawdzie duże trudności ze znalezieniem odpowiedniego pomieszczenia na bibliotekę (musałem się przeprowadzić z całym „dobytkiem“ 4-ro krotnie w ciągu pierwszego roku), jednakowoż trudności te nie hamowały zbyt- nio rozwoju interesu. Po opanowaniu Tayport „przeskoczyłem“ do pobliskich miejscowości: Newport i Leuchars a po 2-ch latach spróbowałem szczęścia w Dundee — głównie na jego przedmieściach. Biblioteka moja okazała się i tam popularna, gdyż obecnie rozwoje przeszło 2000 książek tygodniowo. Do dyspozycji mam blisko 10.000 książek własnych. Na początku 1951 roku udało mi się kupić sklep (który przez pewien czas wynajmowałem) wraz z domem, garażem i małym ogrodem. Tym samym założyłem niejako trwalsze fundamenty pod moją bibliotekę.

Praca moja jest bardzo ciekawa. Każdy szczegół dotyczący czy to organizacji regularnego rozprowadzania książek do klientów, czy zakupu nowych książek i ich katalogowania musiał być szczegółowo obmyślany i wprowadzany w życie. Ze względu na to, że biblioteka jest innego typu od istniejących — nie mogłem się na nich wzorować. Nic dziwnego, że popełniłem wiele błędów, nieraz bar-

dzo kosztownych. Dla przykładu podam, że obecny sposób obkładania książek papierem jest szósty z kolei a wciąż jeszcze rozglądam się za oprawą, która by była efektowna, trwała, tania i zabezpieczała książkę przed brudem i wodą i chociaż częściowo zabezpieczała przed ząbkami piesków i paluszkami dzieci. Kupując nowe książki, muszę się trzymać pewnej proporcji, jeśli chodzi o ich rodzaj. Obecnie np. rozprowadzam około 40% powieści detektywistycznych, 30% romansów i 30% nowel, historycznych, podróżniczych itd. Tę więc proporcję muszę zachować przy każdorazowym zamawianiu nowych książek.

Wszystkie książki są w języku angielskim. Początkowo chciałem mieć też sekcję książek polskich, dla ewentualnych klientów polskich, osiedlonych w okolicy. Zarzuciłem jednak ten projekt, ponieważ w żaden sposób nie mogłem dojść do porozumienia ze Składnicą Książek P.S.K. Mam natomiast kilkanaście książek polskich w języku angielskim i z największą przyjemnością pragnąłbym podkreślić, że są one bardzo popularne wśród czytelników szkockich. Książek gen. Bora-Komorowskiego, czy gen. Andersa praktycznie nigdy nie ma na półkach — zawsze na „wyjeździe“. Pewnego razu pierwszą z nich dałem do przeczytania pewnemu robotnikowi z Dundee. Myślałem, że mi ją zwróci po tygodniu z uprzejmą prośbą, bym mu „takich“ książek więcej nie przywoził — zalaatywało od niego odrobinę przekonaniami politycznymi, zbliżonymi do komunizmu. Mile byłem zdziwiony, gdy mi ją zwrócił po... 6-ciu tygodniach, uregulował sumiennie należność za przetrzymanie i powiedział, że wraz z nim jego 6-ciu kolegów z gazowni przeczytało ją „od deski do deski“. Zwierzył mi się też, że po przeczytaniu „Secret Army“ zmienił zupełnie swoją ujemną dotąd opinię o Polsce i Polakach, że i jego koledzy też zmienili swoje zdanie.

Takich przykładów mógłbym przytoczyć bardzo wiele. Czynią one pracę moją o wiele przyjemniejszą. Na ogół biorąc tutejsza ludność odnosi się do mnie bardzo życzliwie. Docenia fakt, że książki przywożone są regularnie dosłownie do ich rąk (zwłaszcza ludzie chorzy, starzy i nie mający nigdy czasu na pójście do biblioteki) i robi wszystko, by mi ułatwić pracę i życie wśród nich. Wielu spośród moich czytelników z dumą mi opowiada, że przyjaźnili się w czasie wojny z żołnierzami polskimi cóż, kiedy zaraz dodają z goryczą, że „John“ czy „George“... ski wyjechał, zostawił u nich wiele swoich pakunków i walizek na przechowaniu i nie daje znaku życia.

Staram się, wtedy jakoś usprawiedliwić moich rodaków, chociaż wolałbym, by owe Janki, Józki i Staszki napisali chociażby pocztówkę do swoich zaniedbanych przyjaciół szkockich i uwolnili ich od swoich bagaży.

Na przyszłość nie mam żadnych planów.

LEON SURZYŃSKI

Z PIĘŚNIĄ W SŁUŻBIE NARODU

Ruch chóralny ma wyraźnie dwa aspekty: artystyczny i społeczny. W każdym chórze te dwa aspekty są reprezentowane, z tym, że zależnie od potrzeb czy kwalifikacji podkreśla się jeden czy drugi.

Chóry są integralną częścią życia muzycznego narodu. Śpiewak, nie używając instrumentu, lecz tylko danego mu przez Boga głosu, może uczestniczyć w wykonaniu najważniejszych dzieł muzycznych. Pieśń chóralna, jak i pieśń jednogłosowa, jest najwierniejszym odbiciem życia narodowego, osobistego jak i zwyczajnego i obyczajowego. Pieśń jest nieprzebraną skarbnicą przeżyć emocjonalnych w najszerszej skali. Od kołyski nowonarodzonego towarzyszy nam pieśń w wszelkich okolicznościach i przeżyciach aż do pieśni pogrzebowej. Niepokojne i bujne życie naszego narodu znalazło wierne odbicie w pieśni. To też pieśń polska jest jednym z najbogatszych i jednym z najciekawszych skarbów naszej kultury narodowej. Bogactwo i piękno polskiego folkloru muzycznego było fundamentem pracy największego Polaka, Chopina. Pieśń polska umiejętnie zaśpiewana zainteresuje zawsze każdego cudzoziemca. Pieśń polska jest „dobrą propagandą“.

Mówiąc o aspekcie artystycznym i emocjonalnym pieśni, nie wolno zapominać o bardzo ważnym aspekcie społecznym ruchu chóralnego. Chór dochodzi do swoich wyników w działaniu zespołowym. To działanie zespołowe wymaga wielkiej dyscypliny, wielkiej ofiarności i wielkiego umiłowania pieśni. Przyjrzyjmy się na chwilę codziennej pracy chóru. Występ na koncercie poprzedzają niezliczone próby odbywające się przez cały rok dwa razy tygodniowo. Każdy chórzysta pracuje, jak wszyscy inni, na chleb codzienny. Po pracy odbywa on nieraz daleką podróż na próbę chóru, opłaca sam koszt przejazdu.

poza tym jednym, by swoją bibliotekę nieco rozbudować, zdobyć jak najwięcej doświadczenia w tej nowej dla mnie dziedzinie i gdy przyjdzie czas, ewentualnie założyć podobną bibliotekę, ale już z książkami polskimi w wolnej ojczyźnie.

Dwugodzinną próbę wypełnia intensywna zespołowa praca pod kierunkiem dyrygenta. Chórzysta jest karnym członkiem zespołu. Daje cały swój wysiłek, całe swe umiłowanie pieśni, ginie jako jednostka w zespole i cieszy się tylko wynikiem zespołu w czasie wykonania koncertowego. Chyba nie ma wiele form pracy społecznej, które były by tak wspaniałą szkołą idealizmu, poświęcenia jednostki dla pracy zespołowej, karność, ofiarności, precyzyjności w pracy i solidarności. I te wszystkie wielkie wartości społeczne zdobywa się nie nakazami i nie przymusem. Jedynym motorem działania to miłość pieśni i radość z dobrze zespołowo wykonanego utworu. Polacy powinni więcej śpiewać w chórze. Artystycznie mogą w tej dziedzinie dużo pokazać światu. Jako naród, obciążony rozwichrzonym indywidualizmem i niedostateczną skłonnością do pracy w karnej gromadzie, znaleźć możemy w pracy chóralnej przyjemną i skuteczną szkołę pracy zespołowej.

* * *

Polski ruch chóralny ma swoją dawną i bogatą historię.

Przesławny chór t.zw. „Kapela Rorantystów“, który śpiewał w kaplicy obu królów Zygmuntołów w wieku XVI-tym na zamku krakowskim, zajmuje do dnia dzisiejszego złotą kartę w historii muzyki polskiej. Organizacja chórów w związkach chóralnych, — jako ruch społeczno-artystyczny — rozpoczął się w drugiej połowie wieku XIX-tego. Pod zaborami chóry i związki śpiewacze były nie tylko przybytkami sztuki. Były one również zasłużonymi katakumbami życia narodowego, uciskanego przez zaborców. I jeszcze nieraz przypadnie pieśni rola przechowywania wartości narodowych. Każdy zabór miał własne formy organizacyjne i środki działania. Nato-

miast cel był ten sam i wymiana myśli jak i dorobku była żywa. W Kongresówce przodował chórem Piotr Maszyński z swą warszawską Lutnią. W Małopolsce stworzył Lwów prototyp elitarnych chórów na czele z Echem Macierzą, prowadzonym przez Jana Galla. Lwów i Kraków miały swe znakomite chóry akademickie. W Poznaniu założył już w roku 1883 ks. dr. Józef Surzyński sławny do dnia dzisiejszego Chór Katedralny. W Poznaniu powstał w roku 1892 pierwszy Związek Śpiewaczy t.zw. „Wielkopolski Związek Kół Śpiewaczy“. Ten ruch związkowy rozprzestrzenił się szybko na Śląsk, Pomorze, Westfalię w Zachodnich Niemczech, na północną Francję i na Stany Zjednoczone.

Po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 rozpoczął się w okresie między wojnami wspaniały rozwój ruchu śpiewaczego. W wielkim skrócie można ten proces określić jak ścisłe spojenie dwóch elementów; chóru elitarnego typu Echa Macierzy Lwowskiej i szeroko założonej organizacji społeczno-śpiewaczej typu Wielkopolskiego Związku Śpiewaczego. Powstały liczne związki śpiewacze w kraju i na emigracji. Pracą tą kierowało Zjednoczenie Związków Śpiewaczy i Muzycznych w Warszawie. Na zjazdach i zebraniach Zjednoczenia byli delegaci nie tylko z Polski. Reprezentowali oni także śpiewaków od Charbina na Sybirze aż do Chicaga w Stanach Zjednoczonych. Przejawem potęgi tego ruchu był niezapomniany zjazd w roku 1929 z okazji 10-cio lecia odzyskania niepodległości. Blisko 20.000 śpiewaków odtworzyło potężną kompozycję Feliksa Nowowiejskiego „Ojczyzna“ na osiem głosów. Zjazd w roku 1929 był imponującym i do tej pory niedoścignionym przejawem powszechności i demokratyczności polskiego ruchu śpiewaczego. Na tym zjeździe powstał Słowiański Związek Śpiewaczy, który objął wszystkie narody słowiańskie w Europie i przejawiał przez kilka lat dużą żywotność. Pierwszym prezesem tej organizacji był Polak.

Nie wolno tu zapominać o dużym i oryginalnym dorobku kompozytorskim, który zrodził się we współpracy ze społecznym ruchem śpiewaczym. Plejada znakomych kompozytorów dała w oparciu o polski folklor naszemu ruchowi śpiewaczemu bogatą literaturę chóralną, która stawia Polskę w zespole innych narodów na bardzo poczesnym miejscu. Trudno wspomnieć wszystkich kompozytorów, którzy tak hojnie obdarzyli nas utworami chóralnymi. Przypomnijmy choć kilka nazwisk: Gall, Maszyński, Niewiadomski, Nowowiejski, bracia Surzyńscy, ks. Gieburow-

ski, Wallek-Walewski, Lachman, Wiechowicz, Prosnak, Stadler i w. i.

A jak to było w czasie wojny? W obozach jenieckich, na zesłaniu w dalekich egzotycznych częściach świata, w wojsku w czasie przygotowania się do rozprawy z wrogiem, wszędzie, gdzie zły los wojenny rzucił Polaków, powstawały chóry — i to niejednokrotnie wcale dobre. Ileż to słonecznych i szczęśliwych chwil zawdzięczają chórom Polacy, którzy cierpieli, walczyli i mieli nadzieję na lepszą przyszłość Polski? Chóry, które śpiewały w czasie wojny i w okresie powojennym przed cudzoziemcami, dokonały wysiłku propagandowego, którego nie wolno lekceważyć.

* * *

Po wojnie 150 000 rzesza Polaków pozostała w Wielkiej Brytanii jako emigracja niepodległościowa. I znów zjawia się jako wierny towarzysz Polaka na wychodźstwie chór polski. Po ostatniej wojnie powstały na tej wyspie liczne chóry i to w rozmaity sposób: z inicjatywy dawnych przedwojennych śpiewaków i co jest bardzo pocieszające, z inicjatywy entuzjastycznej młodzieży. Dla usprawnienia ruchu śpiewaczego powołano do życia Związek Chórów Polskich w Wielkiej Brytanii. Związek ten dzieli się na kilka autonomicznych Zrzeszeń. Indywidualne chóry rozwijają pożyteczną działalność w swoich środowiskach, śpiewając w kościele, urządzając koncerty, biorąc udział w imprezach okolicznościowych. Związek Chórów organizuje corocznie Święta Pieśni z udziałem masowego chóru. Święta Pieśni są wielką atrakcją i potężnym zastrzykiem emocjonalnym. Takie Święta Pieśni odbyły się w Londynie, Manchesterze, Birmingham, Huddersfield, Derby, Leicester i na mniejszą skalę w szeregu innych miast. Ruch chóralny skupiający się w Związku Chórów nie ogranicza swych zainteresowań do pracy chóralnej. Interesuje się wszystkimi problemami związanymi z kulturowaniem pieśni jak popularyzowanie pieśni jednogłosowej, jak szerzenie kultu pieśni wśród młodzieży.

Jesteśmy w poszukiwaniu za metodami pracy społecznej, które uchroniły by uchodźstwo, a szczególnie młodzież przed wynarodowieniem. Ruch śpiewaczy, szeroko pojęty, jest jednym z najskuteczniejszych środków utrzymania łączności uchodźstwa z kulturą polską. Zdrowy instynkt samozachowawczy powinien skłonić nas do wsparcia istniejących chórów przez wstępowanie do towarzystw

śpiewających w charakterze członków czynnych czy też wspierających i do zakładania chórów w tych ośrodkach polskich, które nie mają chóru. Gdzie nie ma warunków na założenie chóru, powinniśmy krzewić pieśń jednogłosową szczególnie wśród młodzieży. Jeśli każdą okazję naszego życia społecznego uświetnimy odpowiednią pieśnią, jeśli również każde spotkanie towarzyskie i każdą uroczystość rodzinną okrasimy pieśnią, to życie nasze będzie pełniejsze i piękniejsze. A młode pokolenie, które będzie śpiewało, nie wynarodowi się szybko i nie straci uczuciowego związku z polską kulturą narodową.

Osobom zainteresowanym polskim ruchem chóralnym udzieli chętnie informacji i pomocy:

Zarząd Główny Związku Chórów Polskich w Wielkiej Brytanii, 14, Collingham Gardens, London, S.W.5 (dla terenu Londynu i Północno Wschodniej Anglii).

Zarząd Zrzeszenia Chórów Polskich Północnej Anglii, 16, Grange Terrace, Leeds, 7.

Zarząd Zrzeszenia Chórów Polskich Południowo Zachodniej Anglii, 37, Endwood Court Road, Birmingham 20.

Z ŻYCIA YMCA

Z DZIAŁALNOŚCI OGNISKA POLSKIEJ YMCA W LONDYNIE

PLASTYKA

Współpraca prof. Mariana Szyszko Bohusza z ośrodkiem Polskiej YMCA w Londynie dobiega lat dziesięciu. W okresie tym odbywały się stale prelekcje Profesora w muzeach i galeriach. Szereg cykli wykładów, i sporadycznych prelekcji na tematy plastyki polskiej i światowej złożyły się na bogaty dorobek: a) Profesora, który zyskał duże audytorium i wspaniałą warsztat pracy dydaktycznej, b) Ogniska Polskiej YMCA w Londynie, które zbliżyło przez tę akcję liczną rzeszę miłośników sztuk plastycznych do poważnego zaznajomienia się z dziełami sztuki.

Ostatnio należy zanotować dwa zdarzenia związane z działalnością prof. Bohusza: 1) jego wystawa gwaszów, którą w ostatnich dniach września, przy udziale licznych gości, otworzył ambasador Edward Raczyński. Wystawa ta zyskała dużą popularność, i dobrą krytykę w polskiej prasie emigracyjnej. Niektóre pisma poza sprawozdaniami i krytyką tej wystawy, umieściły fotografie eksponatów. (Wiele z obrazów zostało na tej wystawie sprzedanych). Sama oprawa wystawy była niecodzienna: wielkie gwasze przykryte były taflami szkła na miękkich tablicach okalających równym pasem salę Polskiej YMCA. 2) Rozpoczęty już cykl wykładów niedzielnych o polskim malarstwie. Cykl obliczony na 10 wykładów. Frekwencja na wykładach dostateczna.

MUZYKA

Cykl pogadanek muzycznych Bogusława Maciejewskiego z zakresu muzyki europejskiej wznowiony został po wakacjach, i zyskał nowych słuchaczy. Bogato ilustrowana świetnymi nagraniami pogadanka o Wagnerze i Verdim, a poprzednio o Shumannie daje przegląd rozwoju europejskiej muzyki.

TANCE

Tegoroczne występy „Zespołu Tańców Narodowych i Regionalnych Polskiej YMCA“ ukoronowane zostały sukcesem osiągniętym na tradycyjnych Dożynkach w Londynie. Londyńskie Koło Związku Rolników Polskich jak corocznie, tak i teraz zaprosiło Polską YMCA do wykonania tańców na tym obrzędzie. Tegoroczne wystąpienie odznaczyło się szczególnie licznym udziałem młodzieży zorganizowanej w Kole Tańców, dobrym wykonaniem tańców śląskich w samym obrzędzie dożynkowym oraz, powtarzanym na żądanie widzów kujawiakiem i krakowiakiem weselnym. W zespole tanecznym wzięli udział pp. Irena Różycka i Janusz Piotrowski, znani tak w Londynie jak i na prowincji ze wspaniałego pokazu tańców polskich. Zespół tańców pozostaje nadal pod kierownictwem p. Ciepłińskiego, zaś p. Barbara Sławińska przeprowadza wstępne szkolenie nowych członków zespołu tanecznego.

B. T. L.

NOWE KSIĄŻKI

Stanisław Podlewski: *Rapsodia żoliborska*. Wydanie 1. Nakład 30 350, „Pax” Warszawa 1957. 2 tomy. Stron 463, mapki, fotografie.

Podlewski jest autorem dwu książek o powstaniu warszawskim 1944 roku, pierwszej p.t. „Przemarsz przez piekło”, która ukazała się dosyć dawno i obecnej, która była drukowana początkowo w odcinku w „Słowie Powszechnym” w r. 1956, a następnie w formie książkowej w r. następnym

„Rapsodię żołnierską” zaczął pisać w obozie jenieckim w Sandbostel, koło Bremy, w niepełna dwa miesiące po upadku powstania warszawskiego. Oparta jest w głównej mierze na ustnych relacjach, pamiętnikach i wspomnieniach uczestników walk.

Książka ta jest cennym dokumentem historycznym i pierwszą w ogóle książką o Powstaniu w dzielnicy żoliborskiej i w Puszczy Kampinowskiej. Autor zapewnia czytelnika, że o ile zdoła dotrzeć do nowych źródeł uwzględni je w wydaniach następnych.

Stefan Krzywoszewski: *Długie życie (wspomnienia)*. Wydanie pierwsze. Księgarnia „Biblioteka Polska”, Warszawa 1947. 2 tomy. Stron 359 i 373.

Wybitny pisarz, autor ponad dwudziestu sztuk teatralnych, które były grane przed wojną z wielkim powodzeniem w Polsce, i za granicą, długoletni redaktor warszawskiego tygodnika ilustrow. „Świat” i wieloletni dyrektor teatrów warszawskich,—w formie lekkiej, możnaby powiedzieć felietonowej dał wspomnienia swego życia, od roku urodzenia 1866 w Snochowicach pod Kielcami, do chwili wkroczenia bolszewików do Warszawy w r. 1945.

Wartość książki polega na prawdziwości relacji autora odnośnie wybitnych osobistości ze świata literatury, sztuki i polityki polskiej, z którymi w czasie swego „długiego życia” spotykał się Krzywoszewski z racji swych licznych funkcji.

Florian Czarnyszewicz: *Losy pasierbów*. Wydanie księgarni „Libella” w Paryżu, 1958. Stron 332 plus 4 nlb.

Mieszkający w Argentynie Florian Czarnyszewicz, po dwu innych powieściach „Nadbereżyńcy” i „Wicik Żywica”, wydał obecnie trzecią powieść pod powyższym tytułem. We wszystkich, które możnaby uważać za cykl, przedstawia losy Polaków z ziem nad Berezyną,

ziem, które nie weszły w skład odrodzonego po 1918 r. państwa polskiego. Książka obecnie przedstawia życie nadbereżyńców w Argentynie, ich walkę z warunkami miejscowymi i zwycięstwo odniesione przez Polaków. Dzieła Czarnyszewicza należą do trwałych zdobyczy literatury polskiej.

Leopold Tyrmand: *Zły*. „Czytelnik”, Warszawa 1957. Wyd. drugie. 2 tomy, stron 640 i 456. Nakład 20.250 egz.

Jest to powieść rozgrywająca się w powojennej Polsce. Już pod rządami komunistycznymi. Jest ona ostrym protestem przeciw rozwydrzeniu dużego odłamu młodzieży. Powieść napisana w r. 1954, z dużą plastyką pokazuje Warszawę z tego roku i lat poprzednich. Książka ma wartość dokumentu społecznego, a jednocześnie żywe tempo i reporterski „pazur”. Leopold Tyrmand jest pisarzem katolickim, a jego książka przygotowała nastroje społeczeństwa do „polskiego października”, a przynajmniej jego fazy początkowej.

Tadeusz Nowakowski: *Obóz wszystkich świętych*. „Libella”. Paryż, 1957, wyd. pierwsze. Stron 463.

Druga pozycja książkowa, po zbiorze nowel „Szopa za jaśminami”, ulubionego pisarza emigracyjnego. Przedstawia sposobem dwu przeplatających się wątków, życie w obozach ludności cywilnej w Niemczech po wojnie ostatniej, oraz sceny z przedwojennej Polski (Bydgoszcz), do dnia wybuchu wojny we wrześniu 39 roku. Wartość dokumentu i jedno z nielicznych dotąd opracowań literackich życia Polaków w obozach pod opieką UNRY. Bestseller emigracyjny.

Władysław Łoziński: *Prawem i lewem*. „Wydawnictwo literackie”. Kraków, 1957. Wydanie piąte, 2 tomy. Stron 361 i 431.

Jest to wydanie piąte świetnego dzieła o znaczeniu naukowym. Pierwsze ukazało się w roku 1903, kolejne w latach 1904, 1913 i 1931 i ostatnie (obecne) w 1957. Są to szkice obyczajowe opracowane na podstawie materiałów archiwalnych obejmujących akta grodzkie ziemi lwowskiej, halickiej, przemyskiej i sanockiej od ostatnich lat XVI wieku, po połowę wieku następnego. Łoziński to mistrz słowa i dlatego fakty z akt sądowych zaczerpnięte, tętnią życiem po dzień dzisiejszy. Cenne dzieło do poznania historii południowo-wschodnich ziem Polski. Bogato ilustrowane.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

J. HOFFMAN

ŚP. ANNA ODERFELD-KOWALCZEWSKA

(† 28.IX. 1958)

Poznałem ją jesienią 1920 roku. Dworzec w Lidzie. Oczekiwałem jej oraz „Spiozki” (Sekcja Propagandy i Opieki nad Żołnierzem), które miały przyjechać z Warszawy. Żołnierze, przydzieleni do Sekcji Kulturalno-Oświatowej 2. Armii (Śmigłego-Rydza), której byłem szefem, wyładowywali z pociągu paczki z książkami, które przywozły ze sobą te „Spiozki”. Po przedstawieniu się, obserwowałem je z boku. Ona, jakaś filigranowa, bardzo kobieca i ładna, wydawała mi się najmniej z nich wszystkich stosowna do tej pracy. W myślach kłamałem „Ciocią Helcię” (p. Helena Radlińska), że między innymi tę właśnie wysłała. Myślałem sobie, więcej z nią będzie kłopotu niż pożytku, gdyż ładna i tak kobieca dziewczyna więcej będzie flirtowała z oficerami niż pracowała. Po kilku dniach doznałem miłego rozczarowania. Okazało się, że to dziewczyna serio i, wcale jej nie w głowie flirty.

Zajęła się układaniem programów kształcenia żołnierzy, a zwłaszcza analfabetów. W pracy rzeczowa, chętna i trafiająca w sedno zagadnienia. To najważniejsze. Prócz tego bardzo miła w współżyciu. Potrafiła na tym kulturalnym odludziu zainicjować wspaniałe wieczory. Zebrała nas kilkoro, i poza pracą, rozważaliśmy różne zagadnienia oświatowe, a co ważniejsze, debatowaliśmy nad możliwością wykształcenia nowego, lepszego Człowieka. Wkrótce te zebrania wieczorne nazwałam „nabożeństwami”, gdyż przyjął się jakby liturgiczny porządek w ich odprawianiu. Zaczynało się od czytania lub recytacji jakiegoś wiersza, głównie Słowackiego, Kasprowicza lub czasem, rzadziej Norwida. Później kol. Seweryn Weiss (były Hallerczyk), mój zastępca w biurze, czytał fragmenty Papińskiego „Stroncature” i tłumaczył je nam, lub też coś z Sofficciego. Rozkoszowaliśmy się tym pięknym dźwiękiem mowy włoskiej i tymi „Biffonate” (tj. „błażeństwami”) Papińskiego, które były bardzo dowcipne, jako też i wspaniałymi paradoksami Sofficciego. Później pogawranki nad psychicznym ustrojem człowieka i możliwością doskonalenia go. Były też pogawędki na tematy historyczne a raczej historiozoficzne, i sporo było o sprawach narodowościowych, jako że tam, na tym lidz-

kim terenie natrafiliśmy na zespół różnych grup narodowych: polską, białoruską, żydowską i te inne mniejsze, a niedaleko — za Bieniakomiami — grupy litewskie. Rozważaliśmy jak te zagadnienia rozwiąże młoda, niepodległa Polska, by wszyscy czuli się w niej dobrze. W pogawrankach tych i rozważaniach Anka była inspiratorem wyboru tematów.

Przed demobilizacją, zostałem na własną prośbę zwolniony z dotychczasowego stanowiska i przydzielony do garnizonu Jabłonna w charakterze referenta kulturalno-oświatowego. Wtedy spotkałem znowu Ankę kiedyś w Warszawie. Powiedziała mi między innymi, że opracowuje elementarz dla żołnierzy i często odczuwa brak odpowiedniego środowiska, gdzie mogła by robić pewne doświadczenia. Zaproponowałem jej przyjazd do Jabłonna, zaręczając, że będzie tam mogła robić różne doświadczenia na kursach dla analfabetów. Skorzystała z tego zaproszenia. Nie tylko dorywczo tam przyjeżdżała, ale bywało, że po tygodniu albo i dwu siedziała w Jabłonie i, albo sama prowadziła lekcje na kursach dla analfabetów, lub też przysłuchiwała się lekcjom prowadzonym czy to przeze mnie, czy kogoś innego i odpowiednio je wykorzystywała. Niezależnie od tego, znowu jak w Lidzie, zebrała gromadkę oficerów i podchorążaków i stworzyliśmy znowu takie zebrania towarzysko-dyskusyjne.

Po zdemobilizowaniu się, wyjechałem na tzw. Kresy Wschodnie, ona zaś pozostała w Warszawie. Spotkałem ją dopiero w lecie 1923 roku, kiedy zostałem powołany do Wilna na ćwiczenia rezerwistów. Ona studiowała wtedy przyrodę na Uniwersytecie im. Stefana Batorego. Naturalnie odnowiliśmy znajomość. Dalej interesowała się oświatą nad żołnierzami i, dobry „Tatuńcio” Pakosz, dowódca 1 pp. Leg. nie robił żadnych przeszkód, by mogła chodzić do koszar i tam odwiedzać lekcje analfabetów.

Po kilku latach spotkałem się z nią znowu w Warszawie. Opowiadała mi o swych studiach we Francji, Belgii i Niemczech. Wyrzucała mi wtedy nieraz, że odrzuciłem propozycję Śmigłego objęcia działki w Bieniakomniach. „Moglibyśmy tam wtedy założyć szko-

łą pracy jak Kerschensteiner, czy inną na wzór austriackich, i odpowiednio ją zastosować do polskich warunków“.

W tym czasie pracowała na różnych placówkach szkolnych: w szkole powszechnej, seminarium nauczycielskim, prócz tego w Instytucie Oświaty Dorosłych z Konewką i Godeckim, w Instytucie Spraw Społecznych i Instytucie Higieny Psychiczej Pasjonowała ją zawsze zagadnienie *kim jest człowiek i czym on się stanie*. W ostatnich latach po 1935 r. ubolewała nad tym, że polska szkoła i polskie idee wychowawcze nie nadążają za postępem tych idei na Zachodzie.

Widząc potężniejący rozwój dyktatorstwa, tak w postaci hitleryzmu, faszyzmu jak i rodzimego ONRu oraz OZNu, pewnego razu podjęła próbę rozważania, czy system sowiecki nie nadaje się do tworzenia nowego Człowieka. W pogwarce tej doszliśmy jednak do przekonania, że właściwie nie ma żadnej różnicy między hitleryzmem, faszyzmem a komunizmem rosyjskim, gdyż wszystkie te systemy opierają się nie na swobodnej woli obywateli, tylko na przymusie. Siłą faktu szkoła, mająca za zadanie wychowanie obywatela państwa, nie jest w takich warunkach odpowiednim instrumentem do budowania nowego Człowieka. To samo odnosiło się w naszych rozważaniach i do rodzimego ONRu jako też i do OZNu. Stąd doszliśmy do wniosku, że jedynie w atmosferze zupełnie demokratycznego państwa można myśleć o kształceniu nowego Człowieka.

Los wojny rozdzielił nas zupełnie. Dowia-

(Dokończenie ze str. 39).

Mimo różnych braków: naiwnego niekiedy ujęcia, przesadnego kultu instrukcyj i autoritetów, oraz przeładowania artykułów (zwłaszcza pisanych przed „październikiem“) balastem „drętwej mowy“, całość tomu jest rzetelnym osiągnięciem naukowym i napełnia nas szacunkiem dla kolegów, którzy w tak nieprawdopodobnie trudnych warunkach potrafili rozwijać oświatę dorosłych.

F. K.

dywałem się o nią i, dopiero niedawno natrafiłem na jej ślad. Znajomi pisali mi, że przez szereg lat, tak podczas okupacji niemieckiej jak i później w latach 1946 — 1956, odsunięta i zapomniana, żyła w ciężkich warunkach materialnych. Dopiero po „październiku“ Ministerstwo Oświaty wciągnęło ją do współpracy i dało jej możliwość dalszego publikowania prac.

Jak Anka patrzyła na współczesną rzeczywistość widać z wyjątków jej listów do przyjaciół, pisanych nieledwie w przeddzień śmierci, gdyż 31.VIII i 20.IX. 1958:

„Ja trzymam się fizycznie nieźle, a duchowo... mimo tylokrotnych zniszczeń ze zdumieniem twierdzam, że dusza już zdawałoby się całkiem zrogowaciała i pokryta bliznami zaczyna znowu zielenieć i reagować na to, co jest nieśmiertelnie piękne, dobre i prawdziwe, chociaż codziennie zabijane i krzyżowane — wszędzie, na wszystkich kontynentach i przestworzach...

...Myślę wiele o tym, co najważniejsze: pozostać sobą i włączyć się w rzeczywistość, którą przyniósł huragan dziejowy. Uchwycił Pan tragizm tego przeciwieństwa, z którym ciągle borykać się trzeba...“.

Napisałem do niej, ale — list mój przyszedł w dzień po jej śmierci.

W dziejach naszego szkolnictwa i wychowania zajmie Anna Oderfeld-Kowalczevska należne jej miejsce, chociaż dorobek jej pisarski nie był wielki (jej prac powojennych nie znam jeszcze). Jej elementarze tak dla dzieci, jak i dla dorosłych, a głównie jej książka „Młodzież przedmieścia“ (1936) zostawią po niej ślad nowatorskiego ujęcia procesu uczenia czytania i pisania, zaś ostatnio wymieniona książka — procesu wychowawczego i społecznego tej, tak przez los zaniedbanej młodzieży przedmieść miejskich. Te jej dzieła spowodują, że pamięć o niej w naszej pedagogice zostanie na zawsze.

A tych co znali Ankę, obejmie żal za stratą człowieka szlachetnego, dobrego i zacnego.

Biblioteka Główna UMK



300040131794



WYDAWNICTWA
POLSKIEGO UNIWERSYTETU NA OBCZYŻNIE
 5, Princes Gardens, S.W.7

	cena sh.
<i>Tadeusz Brzeski</i> : TEORIA ROZWOJU GOSPODARCZEGO POLSKI. Wykład rektorski, wygłoszony na inauguracji roku akad. 1954-1955. Londyn 1955, stron 8	1.0
<i>Stanisław Kościalkowski</i> : HISTORYKA — Wstęp do studiów historycznych. Londyn stron 168	12.6
<i>Marian Kukiel</i> : KURS DZIEJÓW POROZBIOROWYCH. Czasy walk zbrojnych o przywrócenie państwa, 1795-1865. Londyn 1953 stron 176	15.0
<i>Tadeusz Sulimirski</i> : POLSKA PRZEDHISTORYCZNA. Część I, od epoki lodowej do około 2000 przed Chr. Londyn 1955, stron 160+VIII, 82 rycin	12.6
W druku:	
<i>Władysław Konopczyński</i> : DZIEJE POLSKI NOWOŻYTNEJ, t. I. 1506-1648. (Przedruk wydania z 1938 r.). Londyn 1955	
<i>Tadeusz Sulimirski</i> : POLSKA PRZEDHISTORYCZNA. Część II.	
Powielane:	
<i>Marian Kukiel</i> : DZIEJE POLITYCZNE EUROPY OD REWOLUCJI FRANCUSKIEJ. Część I. 1789-1815. Londyn 1954, stron 128	20.0
<i>Walerian Kwiatkowski</i> : GRAMATYKA STARO-CERKIEWNO-SŁOWIAŃSKA. Londyn 1953, stron 33	5.0
<i>Walerian Kwiatkowski</i> : SŁOWNIK STAROCERKIEWNO-SŁOWIAŃSKO-POLSKI. Londyn 1953, stron 83.	5.0
<i>Walerian Kwiatkowski</i> : STAROPOLSKIE ZABYTKI JEZYKOWE. Londyn, 1952, stron 41	7.6
<i>Wiesław Strzałkowski</i> : WSPÓŁCZESNE KIERUNKI PSYCHOLOGICZNE. Londyn 1952, stron 160	20.0
<i>J. A. Teslar</i> : KURS LITERATURY POLSKIEJ ZŁOTEGO WIEKU. Literatura polityczna. Londyn 1953, stron 128	20.0
<i>J. A. Teslar</i> : LITERATURA POLSKA ZŁOTEGO WIEKU. Piśmiennictwo Reformacji. Londyn 1953-1954, stron 94	10.0
<i>Ignacy Wieniewski</i> : WYBRANE ZAGADNIENIA Z LITERATURY KLASYCZNEJ. Londyn 1953, stron 47	7.0
<i>Oswald Balzer</i> : HISTORIA USTROJU POLSKI (przedruk) Część I	20.0
<i>J. Bujnowski</i> : PROSEMINARIUM HISTORYCZNO-LITERACKIE. (Organizacja studiów polonistycznych, metodologia, bibliografia, stan badań, podstawowe wiadomości z teorii literatury), str. 92	5.0
<i>Marian Kukiel</i> : DZIEJE POLITYCZNE EUROPY OD REWOLUCJI FRANCUSKIEJ. Część II — 1815-1871, str. 98	10.0
<i>Marian Kukiel</i> : DZIEJE POLITYCZNE EUROPY OD REWOLUCJI FRANCUSKIEJ. Część III, str. 145	10.0
<i>Władysław Gunther</i> : ZYGMUNT KRASIŃSKI, str. 200	15.0
<i>Władysław Wielhorski</i> : ZARYS DZIEJÓW KULTURALNYCH WIELKIEGO KS. LITEWSKIEGO, str. 78	7.6
<i>Janina Pilatowa</i> : METODOLOGIA GRAMATYKI JEZYKA POLSKIEGO, stron 40	5.0
W powielaniu, przeważnie na ukończeniu:	
<i>Mieczysław Giergielewicz</i> : KIERUNKI I PRĄDY DOBY POZYTYWIZMU	
<i>Adam Zółtowski</i> : ZARYS HISTORII FILOZOFII	
<i>Oswald Balzer</i> : HISTORIA USTROJU POLSKI, część II	

W sprawie prenumeraty wydawnictw, znajdujących się w druku lub w powielaniu, należy zwracać się do Sekretariatu Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, 5, Princes Gardens, London, S.W.7.

**BIBLIOTEKA UTWORÓW SCENICZNYCH I INSCENIZACJI**

ZBIOROWANYCH W „PORADNIKU KULTURALNO-OŚWIATOWYM” W LATACH 1947—1956

medie, fraszki sceniczne, farsy, jednoaktówki, cykly:

Micki Michał —

Grube ryby, komedia w 3 aktach; Nry 187 — 191, rocznik 1956.

Szyński Wiktor —

Babcia winna, komedia w jednym akcie, Nr 141/2, rocznik 1952.

Kelnerzy (z nutami); Nr 116/117, rocznik 1950.

Villa Esperanza (Miasteczko Nadziei); Nr 125, rocznik 1951.

Krad Joseph —

Jutro; Nr 157/8, rocznik 1953.

Kro Aleksander —

Nikt mnie nie zna; Nr 152/3, rocznik 1953.

Pierwsza lepsza czyli Nauka zbawienna; Nr 109, rocznik 1949.

Świeczka zgasta; Nr 121/122, rocznik 1950.

Z jakim się wdajesz, takim się stajesz; Nr 121/122, rocznik 1950.

Zręczność i przekora, Nr 185/186, rocznik 1956.

Intryga na przedce, Nr 194/5, rocznik 1956.

Kopnicka Maria —

Moja cioteczka; Nr 140, rocznik 1952.

Krolewska Stanisława —

Dama kier; Nr 93, rocznik 1948.

Kwicz Teodozja —

Dwa ogniwa; Nr 113/114, rocznik 1950.

Pomyłka Urszuli; Nr 118, rocznik 1950.

Legenda; Nr 120, rocznik 1950.

Amator; Nr 126/127, rocznik 1951.

Szalenie miły wieczór; Nr 146/7, rocznik 1952.

Szklanka mleka; Nr 128/129, rocznik 1951.

Lepiej późno, niż nigdy; Nr 135/136, rocznik 1951.

Wakacje, epizod sceniczny w 1 akcie; Nr 192/3, rocznik 1956.

Krynowski Zdzisław —

Operacja; Nr 92, rocznik 1948.

Słowny człowiek; Nr 104, rocznik 1949.

Murzyn (epizod sensacyjny); Nr 107/108, rocznik 1949.

Wyrok (epizod dramatyczny z czasów okupacji niemieckiej); Nr 130/131, rocznik 1951.

Kłowski Tadeusz —

Przyczyna nieznama; Nr 101, rocznik 1949.

Bolesław —

Drzymalski, ty chcesz się żenić (Przeróbka sceniczna); Nr 119, rocznik 1950.

Major Kazimierz —

Książd Piotr, opracowanie sceniczne Olgi Żeromskiej; Nr 123/124, rocznik 1950.

Inscenizacje obrzędowe, świąteczne i o podkładach ludowych:

Kisłowska Anna —

Wesele na Mazowszu (z nutami); Nr 94/95, rocznik 1948.

Kłak Jędrzej —

Zapusty z „podkociołkiem”; Nr 100, rocznik 1948.

Czuchnowski Marian —

— Święcone czyli aksamitna wiązarka bazi; Nr 102, rocznik 1949.

— Anioł pasterzom mówił; Nr 110, rocznik 1949.

— Dożynki i pieśni dożynkowa (z nutami); Nr 81/82, rocznik 1947.

Jabłoński Adam —

— Jarmark, widowisko na Boże Narodzenie; Nr 133/134, rocznik 1951.

Piech S.

— Wiosna idzie; Nr 77/78, rocznik 1947.

— Sobótka i Wianki (z nutami); Nr 79/80, rocznik 1947.

Schiller Leon —

— Pastorałka (z nutami); Nr 87/88, rocznik 1947.

Turowiczówna J. —

— Stała się nam nowina; Nr 149/150, rocznik 1953.

Zawiejski Jerzy —

— Kołysanka Jezusowa (z nutami); Nr 133/134, rocznik 1951.

Żeromska Olga —

— Wybór poezji i muzyki religijnej; Nr 111/112, rocznik 1949.

— Wzór inscenizacji śpiewno-tanecznej: Choćbym ja jeździł (z nutami); Nr 132, rocznik 1951.

— Wiosna w Polsce (z nutami); Nr 77/78, rocznik 1947.

3. Inscenizacje, widowiska i słuchowiska o motywach artystyczno-literackich i historycznych:

Broncel Zdzisław —

— Matka i syn (o Stefanie Żeromskim); Nr 90, rocznik 1948.

— My wszyscy z niego (o Adamie Mickiewiczu); Nr 93/99, rocznik 1948.

Czuchnowski Marian —

— Wiosna ludów — wiosna narodów; Nr 89, rocznik 1948.

— Duch niesiony na skrzydłach wiatru (o rzeźbiarzu ludowym Janie Raku); Nr 96/97, rocznik 1948.

— Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami (o Juliuszu Słowackim); Nr 103, rocznik 1949.

— Pięć serc i jedna muzyka (o Fryderyku Szopenie); Nr 105/106, rocznik 1949.

Karpieński Ziemowit —

— Wspomnienie Warszawy; Nr 83/84, rocznik 1947.

— W 500-lecie Kazimierza Jagiellończyka; Nr 85, rocznik 1947.

— Olimpiada; Nr 91, rocznik 1948.

Nowakowski Tadeusz —

— Wspomnienie o Prusie; Nr 86, rocznik 1947.

Pelczyńska Wanda —

— Dylizans z Warszawy; Nr 180/81, rocznik 1955.

4. Utwory sceniczne dla młodzieży:

Lisiewicz Teodozja —

— Pazur Niedźwiedzi; Nr 115, rocznik 1950.